

3154

HELENA RUDZIŃSKA

WZDŁUŻ
APENIŃSKIEGO
PÓŁWYSPU



SKŁAD GŁÓWNY
GEBETHNER i WOLFF - - - WARSZAWA

HELENA RUDZIŃSKA

WZDŁUŻ
APENIŃSKIEGO
PÓŁWYSPU

SKŁAD GŁÓWNY
GEBETHNER i WOLFF - - - WARSZAWA

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5163390

ODBITO 100 EGZEMPLARZY NUMEROWANYCH
NA PAPIERZE KREDOWYM I 900 NA PAPIERZE
BEZDRZEWNYM.



3154

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

NH-61996

W S T Ę P

Tradycja najdawniejszej kultury, ośrodek chrześcijaństwa i czar najpiękniejszej przyrody, uczyniły Włochy od najdawniejszych czasów Mekką Europy. Pod niebem Italji dojrzewały wszystkie niemal talenty; jeżdżono tam modlić się, uczyć, kochać, podziwiać, — po wszystkie czasy wielbiono piękno i sztukę włoską wierszem i prozą aż do przesytu.

Za naszych pradziadów podróż do Włoch należała do atrybutów bon-ton'u podobnie jak fraki, robrony i muszki. Wyrażenie „podróż do Włoch” brzmi echem minionego romantyzmu i tak przesiąkło miłością i zachwytem, że jest jak zasuszony kwiat, co przy dotknięciu wydaje nikły zapach — echo dawnych wspomnień.

Dziś wojna zbliżyła narody, postęp znosi granice: przed nami stoi otworem szeroki świat, w który wiodą szlaki po ziemi, morzu i w chmurach. Przestrzeń zanika z dnia na dzień, wobec czego dawne egzotyczne wyprawy na południe zamieniły się na „wycieczki krajoznawcze po

Itali”’. Nie zmienia to w niczem postaci rzeczy i nie tłumaczy autora, który odważa się poruszać odwieczny i – zdaje się – do dna wyczerpany temat.

Przyznaję, że pisać o Włoszech jest niemal zuchwalstwem, co więcej: jest rewoltą, wyłomem w ogólnym pędzie ku sensacji, ku odkrywaniu nieznanym lądów.

A jednak...

Jak nieskończoną jest różnorodność typów ludzkich, tak nieskończony sposób odczucia i ujęcia piękna. Piękno obiektywne tylko w duszy ludzkiej znajduje odbicie i wyraz, wyraz głębszy lub mniej głęboki, lecz zawsze inny, nowy i dlatego ciekawy. Jedyne to przekonanie ośmieliło mnie do traktowania starego jak świat tematu, jedynie ono usprawiedliwić może to literackie zacofaństwo.

„Wzdłuż Apenińskiego półwyspu” ukazuje się w dwa lata po odbyciu podróży: tyle właśnie czasu trzeba było, by doznane wrażenia, zapadły w duszę, odbiły się drobnym, nikłym wyrazem w postaci tej książki.

Może zainteresuje ona tych, którym dokuczył jazz i sensacja.

H. R.

WIECZNE MIASTO

Za chwilę odchodzi pociąg pośpieszny Warszawa-Wiedeń-Rzym. Publiczność na peronie ma sine z zimna twarze, skulone ramiona, schowane w kołnierzach nosy; dzień jest przykry marcowy, jeden z tych, co ludziom stęsknionym do wiosny dokucza bardziej niż styczniowe zimno: termometr wskazuje 3° mrozu, od Wisły zaciąga przejmujący wiatr i sypie śniegiem w oczy.

W tych warunkach podróż na południe wydaje się ucieczką od rzeczywistości, odjazdem w marzenie. Za wielką szybą Pulmana w ciepłym wnętrzu przedziału rozpoczyna się już to nowe – jakby nierealne – życie.

Pociąg minął wieczorem granicę w Dziedziicach, przeleciał skrawek Czech, wpadł na terytorjum austriackie. Rankiem zamajaczył przez szyby Wiedeń, pokryty grubą warstwą mokrego śniegu, po którym nie sposób w „południowych” pantofelkach przebrnąć do bufetu na tradycyjną wiedeńską kawę.

Piękny Semmering przesuwają się jak sen zimowy, cały w śniegu i mgle. Dna dolin nie można dojrzeć z okien wagonu, białe strome zbocza

i ośnieżone drzewa uciekają w pośpiechu; pociąg jak ciemny wąż wspina się coraz wyżej, przelatując coraz głębsze przepaście, by, przedostawszy się na drugą stronę, stoczyć się znowu w niziny.

Za Alpami – odwilż: znikł biały całun, dookoła ziemia czarna, rozmokła od deszczu, co tnie po szybach, a podczas postojów spływa kroplistymi łzami – już bliżej o krok do wiosny.

Przed wieczorem dłuższy postój w Tarvisii na włoskiej granicy, gdzie przy zwykłych formalnościach rewizyjno - pasportowych zjawiają się pierwsi faszyci. Odtąd po dwóch w wagonie jadą w roli konwojentów; są uprzejmi, budzą zaufanie i – ciekawość. Umundurowanie ich jest napół wojskowe, napół harcerskie, mają obowiązujące czarne koszule i pod czarnymi brwiami – nieobowiązujące – szafirowe oczy.

Nocą pociąg pędzi z zawrotną szybkością, podrzuca na poślaniu, kołysze; w niespokojnym śnie przelatujemy nieznaną przestrzeń, by z pierwszym świtem obudzić się we Florencji. Przez okno zagląda do wagonu słońce i wiosna, świat się przez noc odmienił: dookoła zielone drzewa, pasy zielonych pól, pokryte szachownicą karłowatych drzewek migdałowych, na których drżą różowe kwiaty, niewiadomo – pierwsze, czy ostatnie.

Za Florencją pociąg mknie równiną; na wschodzie za mgłą rysują się łagodnie góry Sabińskie, na pierwszym planie – ciemne parasolowate pinje i ruiny: krajobraz dla oczu nowy,



lecz nieobcy, jakby z pradzieciństwa duszy na jaw wydobyty. W miarę zbliżania się do Rzymu wzrasta niecierpliwa ciekawość, połączona z rzewnością: odzywa się duchowe powinowactwo, łączące każdego Europejczyka z wiecznym miastem – jego kolebką. W takim nastroju nie dojeżdża się do żadnej innej stolicy.

W południe pociąg, dokonawszy swej drogi, wpada na peron Rzymu. Odrazu ogarnia zamęt: jak natrętne muchy obskakują różni *facchini*; bagaż, hotel, ręczne pakunki rozrywają uwagę,



lecz ponad wszystkim myśl wybiega naprzód niecierpliwym pytaniem – co będzie?

Na placu przed dworcem pierwsze rzucają się w oczy rzeźbione pnie palm, których czuby chwieją się na wietrze jak na powitanie. Widok ich wymownie stre-

szcza ilość stopni geograficznych, przebytych od dalekiej Warszawy.

Wprawnie prowadzone auto wpada w labirynt ciasnych uliczek, przelatuje małe placzki z fontanną lub obeliskiem i po zawitych skrętach zatrzymuje się nagle przed hotelem Mi-



nerwa na placu tej samej nazwy w śródmieściu.

Minął pracowity tydzień jeden i drugi. Raniem z nieodłącznym *Guide Bleu* przebiegało się utartym szlakiem sale Watykanu, Lateranu, Muzeum narodowego, muzeum na Kapitolu.

Popołudnie pochłaniał Rzym.

Mimo pozornej jednolitości odrazu na wstępie uderza złożony charakter miasta. Ma ono trzy wyraźne oblicza, odpowiadające potrójnej roli, jaką odgrywało w dziejach: 1-sze – jako Rzym starożytny; 2-gie – jako kolebka chrześcijaństwa i stolica papieżstwa; 3-cie – jako stolica współczesnej Italji. Z tych trzech aspektów Rzym chrześcijański i papieski dominuje i przemawia najsilniej. Potęga Kościoła, rola i znaczenie papieżstwa, gdzieindziej pojęcia oderwane, tu istnieją jako widoma rzeczywistość i od pierwszej chwili absorbują najbardziej. W cieniu Watykanu niknie skromny pałac na Kwirynale, dostojność papieża, chociaż ukryte, promieniuje tak silnie, że osoba króla i obecnego wielkorządcy blednie i schodzi na drugi plan. Historia pierwszych wieków i początki kościoła zapisały się w murach miasta i dziś czyta się ją jak w otwartej księdze.



Colosseum z areną, na której palono żywe pochodnie, z klatkami na dzikie zwierzęta i ukrytymi drzwiami, którymi je wpuszczano – to okres prześladowań. Koliste rzędy cyrku roją się tłumem, żądnym krwi i wrażeń, sceny męczeństwa, pełne grozy, stają przed oczyma plastyczne, barwne jak za cesarów. Dramat, jaki rozegrał się przed wiekami, żyje wiecznie i w każdej duszy odzywa się dreszczem niespokojnego oczekiwania i trwogi.

Katakumby na Via Appia – miasto podziemne, do 5-ciu pięter sięgające wgląd – to są niewidoczne fundamenty Kościoła. Tu powstają zawiązki pierwszych gmin, tu mała społeczność

z pod znaku ryb kładzie podwaliny nowego życia, które wyruszy stąd na podbój świata. W podziemiach znajdują bezpieczny schron żywi i umarli: mnożą się groby wyznawców i męczenników, z czasem powstaje wielkie cmentarzysko, pełne nisz, grobowców i bielejących kości. Dziś z obawą przenika się w podziemne miasto śmierci, głuchą ciszą oddzielone od świata.

W przedłużeniu drogi appijskiej rysuje się piękna sylweta grobowca Cecylji Metelli i przypomina o tej, co była filarem początków Kościoła i własnym przykładem wykreśliła symbolicznie przyszłą drogę Rzymu: poddanie własnej potęgi pod inną władzę „nie z tego świata”.

Bazylika San Clemente opowiada o jawnym



rozwoju Kościoła. Wyrosła na fundamentach świątyni pogańskiej i pod starożytną, dobrze zachowaną nadbudową, kryje dwa piętra w ziemi. Coraz niżej opuszczający się teren w coraz głębszą prowadzi przeszłość; w mroku podziemnych korytarzy wyrastają rozbite kolumny, nisze ołtarzy, mającą wyblakłe freski. Na granicy dwóch światów splatają się z sobą dawne i nowe wierzenia: ze ścian, z pod patyny wieków, przegładają gdzieś nieudolne prymitywy świętych, a jednocześnie noga potrąca zapomniane w pyłe posągi dawnych bogów.

Z wędrówki po przestrzeniach czasu przywołuje do życia szmer wody w podziemnym źródle, które w martwej pustce wesoło i niezmordowanie o czemś własnym gwarzy.

Tryumf i zwycięstwo chrześcijaństwa głoszą mnożące się w ciągu wieków kościoły, ich bogactwo, rozmiary i liczba.

Na małych *piazza*, wciśnięte między domy wąskich uliczek, wyrastają odwieczne frontony; powaga ich i piękno zrosła się z tłem ulicy, nadając jej piętno starej wytwornej kultury. Zespolone z gwarnym życiem, nie stają się pobielaniami grobami sztuki, lecz żyją, kochane przez rzymian, podziwiane przez obcych. Zdumiewają ogromem, zachwycają bogactwem, lub

onieśmiałają surową prostotą murów, w których błędzą wspomnienia ascezy i niewygasły żar całopaleń ducha.

Ponad wszystkim, jako „matki i głowy Kościołów”, wznoszą się patryjarchalnie cztery kolosalne bazyliki: św. Piotr, św. Jan, św. Paweł za murami i Santa Maria Maggiore.

Bazylika św. Piotra stoi na terenie trochę zapadłym, a nad nią górują ciepłe w kolorze, spalone słońcem mury Watykanu. Plac zajmuje miejsce dawnego cyrku Nerona, objęty półokrągłą kolumnadą, zlewa się z kościołem w jeden akord doskonałej harmonji. Środek wypełnia obelisk, zachowany w całości, pomimo że przywędrował z Egiptu jeszcze za czasów Kaliguli.

Historja nas poucza, że pierwotny kościół wystawił w 326 r. Konstantyn W. na miejscu, gdzie według tradycji pochowany został św. Piotr. Późniejsza przebudowa, dokonana według projektu znakomitego Bramante, nadała bazylice kształt dzisiejszy: formę krzyża greckiego z kopułą pośrodku.

Wnętrze katedry przytłacza niewidzianym dotąd ogromem, w którym ginie zgromadzone piękno; trzeba się oswoić z perspektywą, by rozróżnić poszczególne ołtarze, pomniki i nagrobki.

Pośrodku pod kopułą, zwrócony do wejścia, wznosi się ołtarz główny, a przed nim poniżej poziomu – kaplica ze szczątkami św. Piotra; wejście do niej otacza krąg wiecznie palących się lamp, na dole bieli się wspinała rzeźba Canovy: modlący się na klęczkach Pius II.

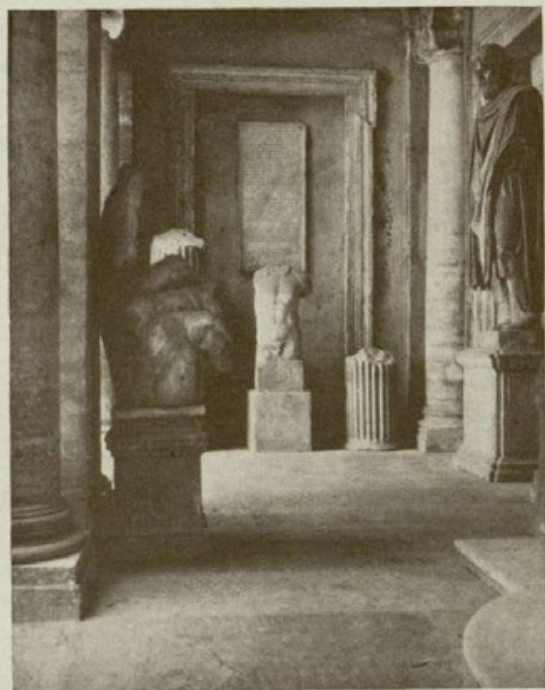
Grób św. Piotra – to żywe serce olbrzymiej katedry, które ściąga i koncentruje wszystkie myśli i wszystkie spojrzenia; ono jedno czuwa, żyje i przyzywa świecidełkami lamp, wszystko inne rozprasza się w przestrzeni ogromnych naw. 29 bocznych ołtarzy ztraca się w nich bez śladu, jak również niezliczone pomniki i marmurowe nagrobki; wśród nich spokojne piękno rzeźby Canovy zatrzymuje raz jeszcze przed nagrobkiem Klemensa VIII. Szeregi kaplic z obu stron rywalizują świetnością i przepychem: gregorjańską projektował Michał Anioł, jego też dziełem jest ołtarz w kaplicy Męki Pańskiej.

Ogólne wrażenie, jakie się stąd wynosi, przytłacza, depresjonuje; podobnie jak gina szczegóły w ogromie katedry, ztraca się przy jej zwiedzaniu pojedyncze pyszne „ja”: wymowa wieków, potęgą zbiorowego wysiłku czynią człowieka małym ziarnkiem piasku, w którym nawet cień dumy ostać się nie może wobec przenikającego uczucia pokory i własnej nicości.

Jako ośrodek katolicyzmu, Rzym ściąga duchowieństwo całego świata wszystkich narodów i ras; spotyka się księży świeckich, kleryków, dostojników Kościoła grupami, parami, w pojedynkę; niektórzy ubrani osobiwie w sukniach fioletowych, czerwonych lub czarno-czerwonych. Przesuwają się z odkrytymi głowami „biedaczyny boże” z różnych zakonów w grubych habitach z wielkimi różańcami u pasa. Z uliczki przy św. Piotrze wysuwa się seminarjum małych księżyków, eskortowane przez ojców: od powagi duchownego ubioru odbijają kontrastem dziecinne twarze i żywe wesołe oczy chłopców. Dopelnieniem niejako ulicy Rzymu jest charakterystyczna postać zażywnego księdza o energicznych ruchach, pięknej głowie w kardynalskim kapeluszu, pelerynie, zarzuconej na lewe ramię. Mija się go co krok w wąskich uliczkach centrum. Pozatem jedynie na miejscowym prakatolickim gruncie wyrosnąć mogą tak ciekawe i pełne wyrazu typy duchowieństwa, jakie tu widuje się bądź w kościołach, bądź na ulicach.

Wpływy papiestwa dominują wszędzie: właściwie cały Rzym jest dziełem papieży, jak o tem świadczą imiona ich, wyryte na kościołach, pałacach i gmachach publicznych. Wielcy miłośnicy i znawcy sztuki w ciągu wieków budowali,

zdobili miasto, któremu żadne pod względem piękna dorównać nie może. Z imieniem papieży wiąże się sława ich posiadłości w obrębie Rzymu: Watykanu i Lateranu.



Słynne „tysiąc sal”, w których mieszczą się cztery musea, biblioteka i archiwum, sala geograficzna, apartamenty Borgiów, stanze Rafaela

i kaplica Sykstyńska, zajmują parter i piętra ogromnego watykańskiego czworoboku. Wewnętrzne dziedzińce – *cortile* – obstawione są szczerlnie głowami bez torsów, torsami bez głów, odławkami rąk, nóg, kapiteli, fryzów, sarkofagami i tablicami, napół zatartemi.

Całości nie sposób ogarnąć nawet pobieżnie, dostaje się zawrotu głowy od widoku klasycznych biustów i nagości; pamięć, która zatrzymać jest w stanie pewną część szczegółów, buntuje się wkońcu i ani rusz notować nie chce, co kiedy komu przypisać. W rezultacie utkwii w pamięci Wenus jedna i druga, Dyskobol, paru Apollinów, cztery kapitalne grupy z nisz Belwederu, sala muz i sala rzeźbionych zwierząt; jeszcze Pallas Atene i Bachus z Erosem – reszta zaciera się, wietrzeje.

Wędrówkę po Watykanie kończy kaplica Sykstyńska, do której dociera się przez apartamenty Borgiów i stanze Rafaela. Kaplica nie jest już właściwie kaplicą: ogołocona, pusta, z okopconym od świec Sądem ostatecznym i jedynymi na świecie freskami. Tłum zwiedzających napęlnia ją gwarem: pośród białych wyróżnia się para hinduska, kilku murzynów, chińczyków i jakieś nieokreślone oliwkowe twarze. Na jedną krótką chwilę Michał Anioł zbliża i łączy różnokoloro-

wą i różnojęzyczną gromadkę w zgodnym dla siebie podziwie.

Pinakoteka w oddzielnym bocznym skrzydle Watykanu otwiera nowy labirynt sal: ściany – zawieszone arcydziełami treści religijnej, w których malarstwo, od prymitywów po wiek XVII, wypowiada swe wizje Chrystusa i Bogarodzicy. Narodziny, Adoracje, Ukrzyżowania, Madonny, święci i papieże przesuwają się przed oczyma w barwnej procesji. Jak tam, tak i tu, pamięć wyławia z morza kolorów i zatrzymuje niektóre tylko rafaelowskie Madonny, głowy Tycjana i ascetyczne świętości Giotta.

Posiadłości papieskie na prawym brzegu Tybru dopełnia Zamek św. Anioła, dawna twierdza, dokąd chronili się papieże w czasie obcych najazdów. Przerobiony ze starożytnego mauzoleumi cesarza Adriana, trwa po dziś dzień, jako najbardziej oryginalny i malowniczy zabytek architektury. W otwartej przestrzeni, na wzniesionym brzegu Tybru, wyrasta z obręczy zębatych murów ogromna szeroka baszta, objęta w górze wystającym szlakiem muru. Ze szczytu frontowej nadbudowy z zegarem ulatuje lekko skrzydlaty anioł; kamienny most, ozdobiony posągami św. Piotra i Pawła i aniołami Berniniego, wybiega od podstaw Zamku, łącząc go z lewym



brzegiem Tybru. Wszystko zlewa się w całość niezwykłą, mimo przysadzistej masy murów, lekką i bogatą.

Na przeciwnym krańcu miasta, w dzielnicy południowo-wschodniej, leży druga posiadłość papieska – Lateran, obejmujący znacznie mniejszy komplet gmachów. Katedra św. Jana rozmiarami wnętrza i portalem zbliżona jest do bazyliki św. Piotra. Środkową nawę wypełnia 12 nisz z kolosalnymi figurami apostołów, bogate nagrobki papieży bielą się w cieniu bocznych naw. Z północnej strony zrasta się z katedrą starożytna okrągła chrzcielnica, gdzie według podania przyjął chrzest Konstantyn Wielki. Klasztor, dawna rezydencja papieży (do Avignon'u),

stanowi dzisiaj muzeum gregorjańskie, którego zbiory zapełniają dwa piętra, parter i dziedzińce czworoboku. Muzeum chrześcijańskie zawiera najbogatszą kolekcję starochrześcijańskich sarkofagów, nagrobków, pomników i tablic; muzeum misyjne przedstawia plon pracy misji katolickich w Azji i Afryce, zarazem daje doskonały poglądowy obraz stopniowego rozwoju rzemiosł i sztuki stosowanej wśród plemion pierwotnych. Museo Profano roztacza przepych sztuki egzotycznej Wschodu, głównie Chin, Japonji, Indochin. Zgromadzono tu bezcenne skarby, w których wypowiedzi się zawiła ekspansywna ornamentyka wschodnia: ołtarze, rzeźbione bogi, złote smoki, bajeczne hafty, inkrustacje w drzewie, metalu i kości, porcelanowe filigrany, wreszcie wnętrza i dziwaczne stroje. Po parogodzinnej po salach wędrowce to piękno obce i nierzezywiste odurza, zawłada wyobraźnią, jak koszmarny haszyszu.

Obok muzeum na placu San Giovanni osobny budynek mieści Scala Santa, schody z placu Piłata. Tradycja mówi, że po nich wstępował Chrystus w dniu swojej Męki: 28 marmurowych stopni, oprawionych w drzewo, po których odbywają pielgrzymkę na klęczkach wszystkie narody świata. U stóp tych schodów

milknie wszelka nienawiść, niema tu wstępu nic, co ludzi dzieli. Ojcowie, którym powierzono pieczę nad przybytkiem, synowie różnych nacji, wśród zmiennej rzeszy cudzoziemców, żyją w błogosławionym świecie pojednania, gdzie jest „jeden pasterz i jedna owczarnia”.

Wracamy w śródmieście; droga prowadzi przez plac Esquilino, na którym panują złotawe mury Santa Maria Maggiore: nad siecią krzyżujących się ulic wyrastają, jak twierdza duchowa, złączona z nurtem miejskim niezliczonymi stopniami schodów.

Początek bazyliki, otoczony legendą, sięga pierwszych wieków; w ogromnym wnętrzu zamyka kaplice, jak całe kościoły, zdobione z niebywałym przepychem: kaplicą Sykstyńską Domenico Fontany i jeszcze wspanialszą kaplicą rodu Borghese.

Wrota św. Wawrzyńca prowadzą za obręb dawnych murów, gdzie w pozamiejskiej ciszy odnajdujemy jedną jeszcze ze starych bazylik – San Lorenzo fuori le mura. Dwa odwieczne kościoły zrosły się z sobą w jedną całość, stare mury malowniczo występują z tła zieleni dębów, cyprysów i pinji. Z prawej strony brama cmentarna otwiera się na Campo Verano, rozległy ogród śmierci, którego asfaltowe drogi biegną

w dal bez końca. Z jednej i drugiej strony ciągną się rabaty starannie utrzymanych mogilek, pamięć żywych stawia na nich marmurowe tablice, pielęgnuje kwiaty, zawiesza alabastrowe lampy. W pogodnej przedwieczornej porze cicho tu jest i tak głęboki panuje spokój, że nie chce się powracać w zgiełk miasta.

Nieskończoną ilość kościołów, rozsianą po Rzymie, zwiedza się z pietyzmem, jako muzea sztuki, lecz modlić się najlepiej w małym kościółku św. Stanisława. Wnętrze proste i skromne, jak w naszych kościołach, nie rozprasza uwagi dziełami sztuki, sprzyja skupieniu i modlitwie. Wśród ściennych łacińskich napisów nazwiska polskich fundatorów proszą o „wieczny odpoczynek”. Dusza z łatwością odnajduje tutaj Boga, modlitwa sama rodzi się i ulata, a oręduje jej z ołtarza ciemna łaskawa twarz Częstochowskiej.

Z kolei mówić zaczyna Rzym inny, Rzym wieczne miasto, którego nieprzerwana tradycja wiąże stolicę dzisiejszej Italji z gubiącą się w mrokach dziejów legendą o Romulusie i Remusie. W centrum miasta, dobywana z pod ziemi, rozrasta się coraz bardziej starożytna Roma. Nazwy jej siedmiu pagórków dźwięcznie brzmią,



te same dziś, co i dawniej; najmniejszy z nich Kapitol, zabudowany według planu Michała Anioła, jest jednym z najpiękniejszych miejsc Rzymu: trzy pałacowe skrzydła zamykają środek, na którym króluje konna postać Marka Aureliusza; szerokie kamienne stopnie, uwieńczone posągami, znaczą łagodny



spadek wzgórze. Oczy szukają tu zawsze świątyni Jupitera: zamiast niej na lewo u szczytu kamiennych schodów wyrasta kościół S. Maria in Aracoeli w surowej prostocie odwiecznych murów. Za pałacem senatorów schodzi się w dół; na tarasie w połowie schodów zatrzymuje niezrównany widok na ruiny Forum. Mijając świątynię



Zgody i Wespazjana, pod łukiem Septymjusza Sewera wchodzi się na Via Sacra w centrum dawnej Romy. W skupionej zadumie krążymy wśród bazylik, świątyń, pomników, tryumfalnych łuków, z których jeden otwiera, drugi zamyka teren wykopalisk. Noga z nieśmiałością dotyka wydeptanych płyt; tu już wyobraźnia pracować nie potrzebuje, w świetle

jasnego dnia oglądamy Rzym z przed 2 tysięcy lat.

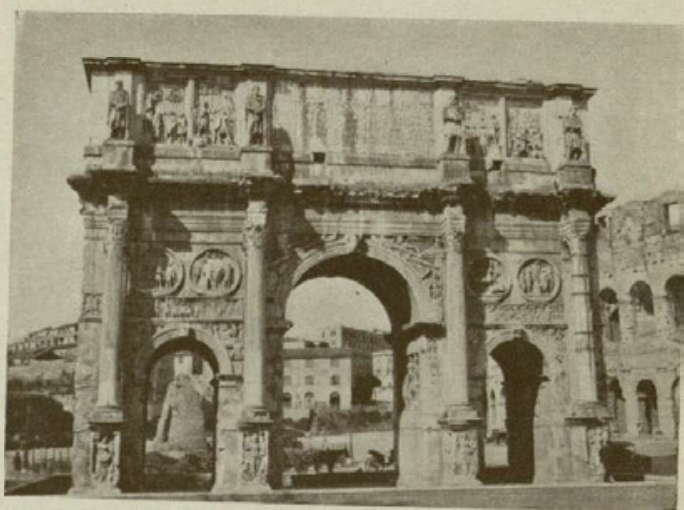
Trzy wielkie bazyliki: Emilji, Juljana i Konstantyna, wypełnione kolumnami, zajmują największy obszar Forum; pomiędzy nimi rozproszone są mniejsze świątynie: Saturna, Jul. Ce-



zara, Kastora i Polluksa, Antonina i Faustyny, Augusta. Każde wnosi inne a zawsze piękne ugrupowanie kolumn: mała okrągła świątynia Vesty liczyła ich kiedyś 20, dziś całość jest znacznie uszkodzona podobnie jak przyległy dom Westalek, z którego pozostał plan poziomy ze

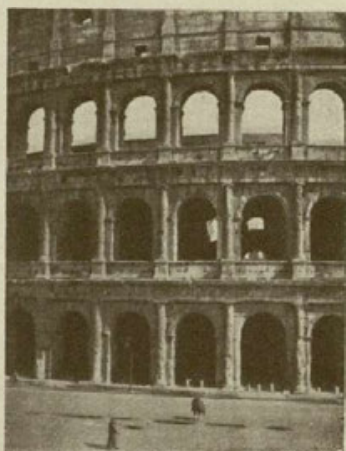
śladami kolumnady i szeregi pomników zasłużonych westalek.

Przestrzeń Forum wypełniają kolumny pojedyncze, spięte ułamkiem gzymsu, utracone w połowie; stoją one jak hieroglify przeszłości, z których czytać można dzieje Romy; początki dziejów otwiera grób Romulusa, a zamyka kolumna Foca, najstarszy (608 r.) na Forum zabytek.



Za łukiem Tytusa w prostym przedłużeniu dochodzi się do Colosseum. Olbrzymia spokojna sylweta wyraża szeroki gest, rozmach architektoniczny, który nie dotarł w spuściznie do czasów dzisiejszych: w drodze wieków rozdrobnił

się i skarłał. Doskonale zachowany owal gmachu, pomimo swych rozmiarów, jest lekki przez wycięcie arkad, które od dołu opasują go potrójnym rzędem i podtrzymują masywniejszą górę. W słońcu załamują się na nim ostre cienie i czynią z niego fantastyczną bajkę, zapomnianą na ulicach miasta.



Ten sam rozmach i monumentalność odnajdujemy w termach Karakalli: sklepień już nie ma, resztki murów odgradzają baseny i sale,



które dziś trawa porosła i zamienia w zielone dziedzińce. Z fragmentów kolosalnych kolumn, płaskorzeźb ściennych i rozmiarów kamiennych postaci odtworzyć można ogrom i przepych słynnych łaźni. Znacznie mniejsze termy Djoklecjana w śródmieściu stanowią przedsionek Muzeum Narodowego. Zgromadzone tutaj najpiękniejsze okazy sztuki greckiej, zachowane posadzki i malowidła ścienne, sprzęty, ozdoby, naczynia i biżuterje, dają całkowity obraz z życia starożytnych greków i rzymian. Widok naczyń szklanych, które, urągając czasowi, najpomyślniej dotąd przetrwały i trwają, budzi mimowolną zadumę nad kruchością człowieka, nad zmiennością pokoleń, które, ponad wszystkim co tworzą, same przepływają jak woda.

I jeszcze jedno uczucie nasuwa czyste piękno, doskonała sztuka, trwała architektura starożytnych: w myśli błąka się pytanie kłopotliwe i zażenowane, gdzie jest postęp? Czy po 20 wiekach stworzyło się coś lepszego? Jak potrafimy budować my, dotknięci zarazą tandety, których domy walą się przed ukończeniem? Z wędrówki po świecie starożytnych powraca się w wiek XX-ty z uczuciem duchowej rozterki.

Kontrast starożytnej architektury z tłem współczesnym zaznacza się w całej pełni na pla-

cu Rotundy, gdzie harmonijny kształt Panteonu, w sąsiedztwie zwykłych kamienic, ukazuje się jak antyczne zjawisko. Powstał, jako pamiątka zwycięstwa pod Actium, i zmiennym ulegał losom, zanim obrócony został na kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Męczenników. Otoczony troską papieży, podlega w ciągu wieków ustawicznym przeróbkom i zmianom, aż w dzisiejszej formie staje się miejscem spoczynku grobów królewskich. Wnętrze puste, pozbawione marmurów i bronzów, które go niegdyś zdobiły, wywiera niezapomniane wrażenie proporcją i spokojem doskonałej architektury.



Do Foro Romano przylegają tereny innych wykopalisk, tak zwane Fori Imperiali – Trajana i Augusta. Wśród ułamków kolumn na Forum Trajana nieuszkodzona kolumna wystrzela w górę, jak znak zwycięstwa nad wszystko niszczącym czasem; pokryta jest płaskorzeźbami, które opowiadają o zwycięstwach cezara, w górze wień-

czy ją kapitol dorycki, a na samym szczycie zamiast dawnego posągu Trajana czuwa św. Piotr. Prace wykopaliskowe, prowadzone wpelni, odkrywają coraz nowe zabytki, które ziemia narastającymi warstwami pokryła jak troskliwy kustosz, by po wiekach ukazać je nowym pokoleniom w pierwotnym kształcie i barwie. Ileż pietyzmu i umiejętności wymaga konserwacja



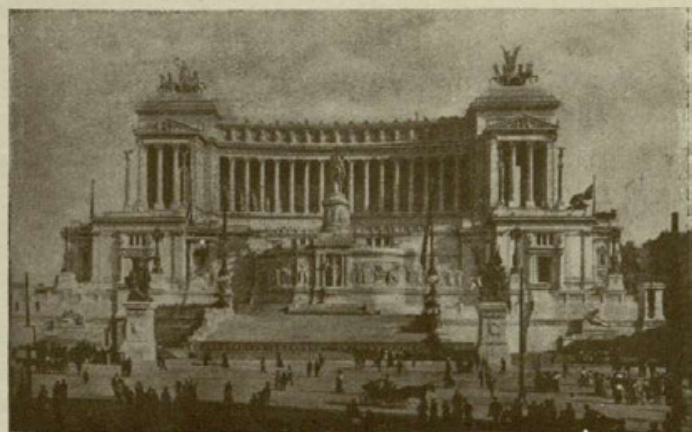
cennej spuścizny przeszłości! Młotek i kielnia pracują tu nieustannie. kunszt rzemieślnika, zakochanego w starożytnym pięknie, oddaje sztuce konserwatorskiej nieocenione usługi, a prowadzone w różnych

punktach prace restauracyjne przywracają kruszącym się budowlom kształt dawny z zachowaniem najmniejszych szczegółów prawzoru: oto wśród brudnych zaułków na Zatybrzu odżył średniowieczny kościół św. Cecylji, odżył przylegający czworobok klasztoru, zazieleniły się wewnętrzne dziedzińce. Strzeżona puścizna trwa i staje się naprawdę wieczną, powiększa się

wiekowy dorobek, któremu niema ceny, i rośnie w oczach świata bezkonkurencyjny magnes Rzymu.

Mozna powiedzieć, że cechą Rzymu jest bezczasowość, gdyż czas, jako miara trwania, przestaje istnieć tu, gdzie żyje się jednocześnie przeszłością i teraźniejszością. Nowe życie zielone pędy na starym pniu wypuszcza: beztrąsko gnieździ się pod dachem starych dzwonic; kipi radosne pod bokiem sędziwych bazylik; nowe przybudówki, gwarne jak gołębniki, zrastają się z murami z czasów Nerona. Tak zaciera się różnica między tem, co jest, a tem, co było.

Jak sercem Romy był Kapitol, tak sercem Rzymu – stolicy Italji – jest nowoczesny pomnik



Wiktora Emanuela. Od ogólnej patyny miasta odbija zbyt jaskrawo, przeładowany ozdobami, zabardzo bieli się i złoci, lecz, tracąc zbliska, zyskuje zoddali. Perspektywę ma doskonałą: z jakiegokolwiek strony na Rzym spojrzymy, wzrok zawsze zawadzić musi o górujące nad masą domów białe kolumny i rozbiegane złote konie. Stąd bierze początek wyasfaltowane wąskie Corso Umberto, które, jak rzeka pogłębiona, ujęta w ramy lustrzanych witryn, niesie dyskretnie ruch uliczny i wylewa się na piękny plac del Popolo.

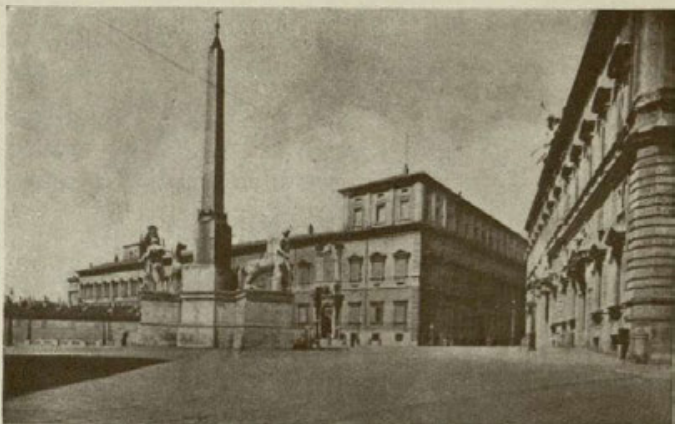
Z placu naprawo prowadzą schody i wije się ślimakiem jezdnia na Pincio – ulubiony spacer rzymian.

Wzniesiony taras, na którym z reguły cudzoziemiec znaleźć się musi, by spojrzeć na Rzym o zachodzie, wprowadza do ogrodów, gdzie pinje, cyprysy, fontanny, pomniki, pod kłosem włoskiego nieba stwarzają widoki, postokroć znane i odtwarzane, lecz zawsze nanowo piękne dla oczu, co je pierwszy raz widzą.

Na terenie, objętym nazwą Pincio, łączą się w jeden rezerwoar powietrza i zieleni właściwy park, ogrody willi Borghese i willi Julia, tereny sportowe. Cała przestrzeń przecięta alejami spacerowymi, drogami samochodowymi, w pogodne

ranki pełna ciszy i skupienia, rojąca się tłumem w świąteczne popołudnie, prócz rozkoszy pleneru dostarcza różnorodnych wrażeń. Małe pałace, schowane w zieleni, zapisują wieczyście imiona wielkich protektorów Odrodzenia: papieża Juljusza III i kardynała Scipione Borghese. Dziś, jako muzea, wypełnione dziełami doskonałymi, świadczą raz jeszcze o sile i bogactwie twórczości, która pod tem słońcem dojrzewa jak nigdzie na świecie. Z północnej strony zrasta się z parkiem ogród zoologiczny, gdzie na wstępie różowe, nieruchome ibisy wyrastają jak kwiaty z zielonej łąki; cała przestrzeń ogrodu wibruje odgłosem, ruchem, kształtem zgromadzonych zwierząt, mniej lub więcej melancholijnych więźniów, którym żadne starania, najbardziej pomysłowe urządzenia klatek i terenów, zastąpić nie mogą utraconej swobody. Mimowolnym żalem serce ściska widok pięknej białej niedźwiedzicy, która wśród sztucznych grot i lodowców krąży wokółko ruchem obłądnej tęsknoty, wydając raz po raz krótki, urywany ryk, zew do swej dalekiej, zimnej ojczyzny.

Prawie pod kątem do Corso Umberto biegnie ożywiona handlowa Via Nazionale, skąd przez charakterystyczną uliczkę czterech fontann dotrzeć można na plac Kwirynału. Siedziba kró-



lewska jest skromna i małoznaczna, jakby dobrowolnie redukująca swój majestat wobec glorii przeszłości i potęgi katolicyzmu. Za to mały placyk na Kwirynale jest jednym z piękniejszych miejsc Rzymu.

Panuje tu cisza i spokój. Oprócz skromnego pałacu królewskiego wznosi się na nim jeden tylko pałac ministerstwa spraw zagranicznych. Słynna grupa ujeżdżaczy koni, zakończona smukłym obeliskiem, wypełnia środek. Teren placu lekko pochyły zniża się ku otwartej w dole panoramie miasta.

Rozbudowując się, Rzym wybiegł dawno *fuori le muri*, rozsadził ciasną obręcz opasujących go murów: po wojnie wyrosły nowe dziel-

nice, systematycznie pocięte linjami ulic o szerokich chodnikach, doskonałych jezdniach, za-
drzewione, połączone siecią tramwajów. Nowo-
czesność ich nie wnosi nic nowego do estetyki
miasta, z tego względu mniej są dla cudzoziemca
ciekawe, stwierdzają jednak niesłabnącą żywo-
ność wiecznego miasta, zarówno w bogatej prze-
szłości, jak i w odradzającej się twórczej teraż-
niejszości.

Gdy się przebiega Rzym wszerz i wzdłuż,
jeszcze jedno określenie nasuwa się samo,
tym razem czysto zewnętrzne: miasto fontann.
Nigdzie niema ich tyle i tak pięknych, jak
tutaj.



Przeobfitość wody, posłuszna rozkazowi człowieka, co krok wylewa się szerokim strumieniem, spada pieniającą się kaskadą, wytryska w górę srebrzystym rzutem lub cienką strużką, zdaje się sączyć wieczyście z ust pozieleniałego ze starości fauna.

Na placu dell'Esedra przed Muzeum cztery trytony wyrzucają w górę strumienie, które rosiwym deszczem spadają do basenu na rozkosznie wygięte ciała kąpiących się najad.

Tuż blisko przy placu św. Bernarda Aqua Felice toczy potoki wody z akweduktów albańskich. Olbrzymi Mojżesz Domenika Fontany występuje z rzeźbionej ściany, jako symboliczny sprawca fontanny i jej patron.

Trzy fontanny na placu Navona wypełniają przestrzeń alegorią rzeźb i wodnych wytrysków. Tryton Berniniego na placu Barberini pluszcze się bezustannie w ulubionym żywiole.

Monumentalna di Trevi utkwii w pamięci każdego cudzoziemca przez przywiązaną do niej legendę o powrocie. Rzeźbiona ściana wypełnia całkowicie długość placu tej samej nazwy: tutaj Neptun sprawuje rządy; mając po bokach alegorie płodności i zdrowia. Strumienie wody biją ze wszystkich stron, wypełniając basen wielkości małego stawu.

Zdała od gwaru miejskiego w zacisznej dzielnicy przy św. Pankracym najpotężniejszy rzut wodny Aqua Paola wylewa się rzeką szerokich strumieni do olbrzymiego basenu. Zpośród sześciu granitowych kolumn woda z szumem kaskady toczy się bezustannie, zasilana przez źródła z okolic jeziora Bracciano.

Opis fontann rzymskich wypełnić może gruby tom. Wiecznie ruchliwy i dokądś śpięszący się żywioł, co w nich pluszcze, szumi, pieni się, rozpyła, własnym ruchem ożywia kamienną architekturę: bogi, trytony, nimfy pod rzeźwą pieszczotą wody ciemnieją lśniącem połyskiem, wsłuchane, co im prawi niezmordowana gaduła.

Ostatni spacer na wzgórze Janiculum i spojrzenie, rzucone stamtąd na Rzym, utrwała się w pamięci, jako synteza doznanych wrażeń.

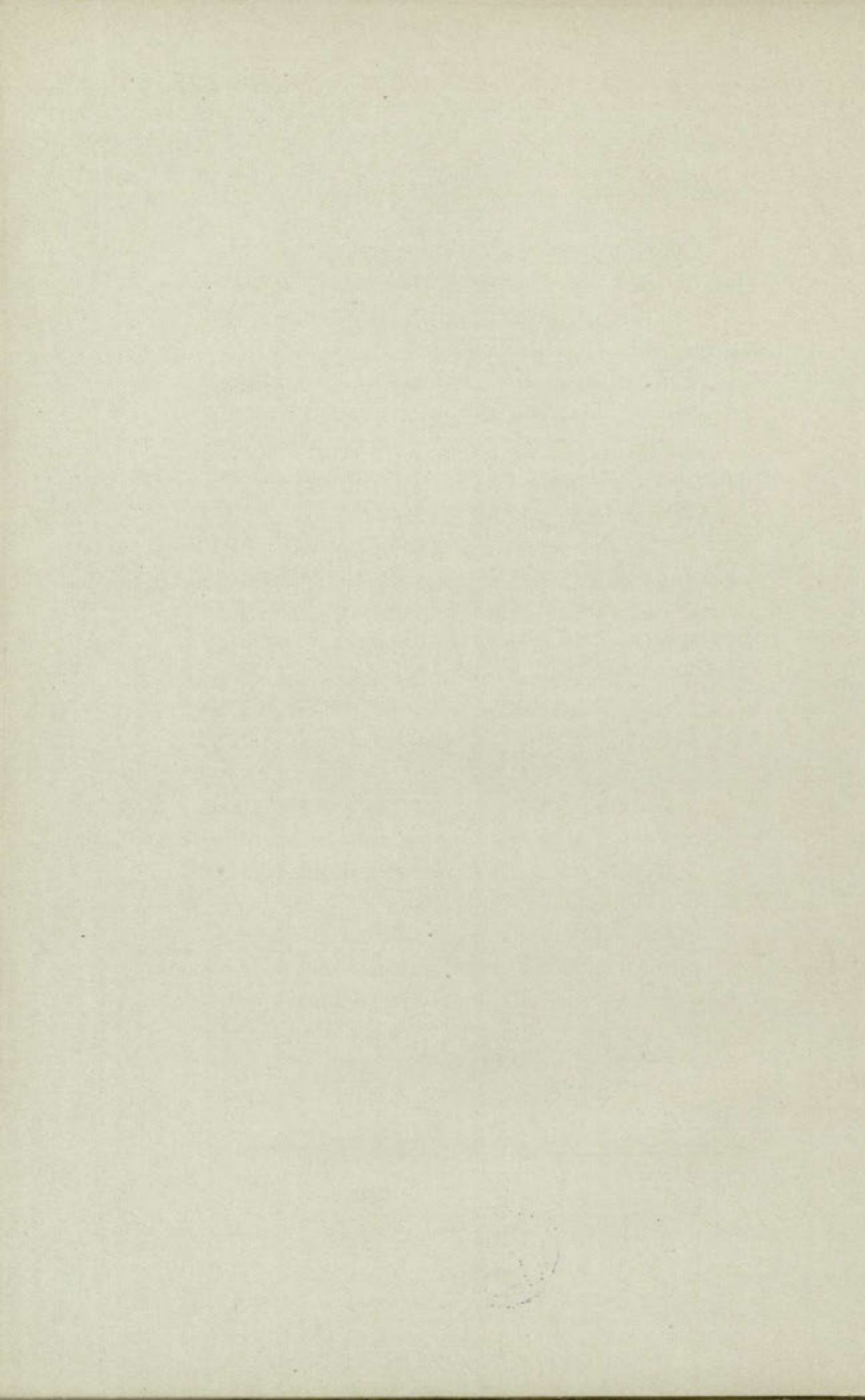
Ze starych uliczek na Zatybrzu przez via Garibaldi dochodzi się do wysokiej jak twierdza Akademii hiszpańskiej, dokoła której wije się droga i wypływa na wzgórze w piękną aleję Passegiata Margherita. Ciągnie się ona wzdłuż najwyższego z rzymskich pagórków, doprowadzając kolejno do pomnika Garibaldiego, do latarni, do dębu, przy którym Tasso siadywał, i kończy się wdole wśród wąskich uliczek przy św. Piotrze.

Z najwyższego miejsca pod pomnikiem roztacza się rozległa panorama miasta, stokroć piękniejsza, niż na osławionem Pincio.

Cały Rzym leży w dole; przedwieczorna mgła przesłania go woalem; jak drogowskazy znaczą się tu i tam kopuły kościołów, ciepły kolor murów, od czekoladowego do różowego, zlewa się z pociemniałymi przez czas dachami, tworząc w perspektywie powietrznej ów jedyny koloryt Rzymu – największy jego urok.

Miasto nie razi martwością zimnych murów, jest ciepłą, słońcem nagrzaną masą, w głębi której zdaje się pulsować i krążyć krew minionych pokoleń. Ona to jest źródłem życia i tajemnicą wieczystej odnowy.

NEAPOL



Połączenie Rzym – Neapol jest pierwszorzędne. Najwygodniejszy pociąg o najwygodniejszej godzinie – wyjazd bez pośpiechu po zwykłym lunch'u – w dwie i pół godziny dowozi do stóp Wezuwjusza.

Pociąg przewija się wśród gór, krąży, omija, a gdy nie może inaczej, rzuca się z determinacją w gardziel długich tunelów; przelatuje z jednego w drugi, z jasności dnia pogrąża się odrazu w nieprzenikniętą ciemność, napelniając na moment niezmaconą ciszę wnętrza góry rytmicznym stukiem kół, niby własnym zdyszczanym oddechem.

Góry naprzemian to oddalają się, to zbliżają, ciemne, ogromne, jakby swą masą przynieść chciały; są nagie, a zpoza zasłony mżącego deszczu wyglądają posępnie.

Na całym odcinku kraj skalisty i mało zaludniony, większych osiedli nie widać. W dole małe półka i rzadkie pojedyncze domki, przylutone do zboczy górskich; urwiska wieńczą ruiny, szare jak skała i od wieków z nią zrosnięte; od czasu do czasu przemknie, niby korona, osa-



dzona na szczycie góry, nieprawdopodobne miasteczko, do którego chyba kozica dotrzeć może.

Ten krótki przejazd mówi wiele: daje poznać stosunek człowieka do przyrody, co sprawia, że samorzutnie dokonuje się przewartościowanie dotychczasowych pojęć o włochach. Odrywa się i ulata z wiatrem przylepiona bezkrytycznie do narodu włoskiego etykieta, głosząca o ich próżniactwie i pławiącym się w słońcu lenistwie, zjawia się natomiast inne określenie: naród bohaterskiego wysiłku – tak właśnie jest słusznie i sprawiedliwie. Nie jest to codzienna systematyczna pracowitość niemiecka, co stwarza dokoła siebie ład i dobrobyt – na taką włoch zdobyć się nie umie – dlatego bywa często głodny, a stale brudny. Energję jego pochłania wysiłek jednorazowy i ciągle branie się za bary z naturą, którą na każdym kroku ujarzma i zwycięża. W mieszkańcach wygodnych urodzajnych równin budzi podziw niewspółmierny wysiłek, co buduje miasta na wodzie i miasta na szczytach, przebija tunele przez środek gór, wykuwa drogi w nadmorskiej skale i w słonecznym upale uprawia kamieniste zbocza, zamieniając je w urodzajne pola i winnice.

W tej rehabilitacji utwierdza Neapol, gdy mknie się wieczorem po gładkim asfalcie jasno

oświetlonych ulic i bulwarów; pierwszorzędne urządzenia, wykwint hotelu – oto co uderza na wstępie do osławionego przez malowniczość i brud miasta.

Przez kilka smutnych deszczowych dni z trzydniówką *sirocca*, ze złem i wzburzonym morzem, nawet Neapol wydał się posepnym.

Humor gości w Santa Lucia był kwaśny jak pogoda: stukano w barometr i męczono nie-szczęsnego concierge'a pytaniami o pogodę, wymówkami za opóźniającą się wiosną, pogrozkami odjazdu. Lecz dygnitarz za kontuarem westybulu jest kutym na cztery nogi psycholo-



giem: wie, co odpowiedzieć, i umie natchnąć gości nieograniczoną wiarą we włoskie słońce, co, schowane narazie za całunem chmur, tem cudowniej zabyłśnie dziś jeszcze – a najdalej jutro.

W oczekiwaniu tej zmiany przebiega się po deszczu i błocie rozległe, gęsto zaludnione mia-



sto, drugą po Rzymie stolicę i najważniejszy na południu ośrodek przemysłu, który w pięknej zatoce kwitł już przed wiekami i ściągał okolicznych wyspiarzy do bogatej Partenopy.

Neapol jak ra-

mieniem objął swą zatokę i od brzegów morza podnosi się coraz wyżej, aż do pałacu i ogrodów Capodimonte. Villa Nazionale i bulwary nad morzem, zabudowane szeregiem okazałych hoteli,



to komfortowa dzielnica turystów, gdzie od wczesnego rana do późnej nocy snują się uzbrojeni w olbrzymie Zeiss'y chudzi anglicy, toczą się niemcy jak okrągłe beczki i przeciągają krzykliwe stada amerykan. Właściwy charakter miasta odnajduje się w śródmieściu, w przecinającej się sieci wąskich uliczek, słynnych neapolitańskich vicolo i via, gdzie słońce nie dochodzi, w wilgotnym cieniu gniją wyrzucone na bruk odpadki, górą fruwa na sznurach różnokolorowa bielizna, dołem przeciska się rozgadana gestykulująca cizba.

Tu i owdzie z balkonów, z odrapanych murów, spada w mrok uliczki zwój kwitnących pnączy, niby śmiech radosny.

W architekturze przeważa barok bogaty, ekspansywny jak samo południe; falista jego linja ciężkimi bryłami rzeźbi obłoki, amorki, któremi przeładowane są pomniki i ołtarze. Absydy i kaplice mieszczą mauzolea i nagrobki dawnych wielkorządców i ich rodzin. Rozmaitość zmieniających się wieków dynastji wypisuje imiona Aragonów, Burbonów, Hohenstaufów, d'Anjou, a każde utrwała swe wpływy w architekturze. Wnętrza kościołów zaniedbane, mury zniszczone, schody kruszą się i zarastają trawą. Siłą kontrastu nasuwa się wspomnienie okazałego pię-

kna świątyń rzymskich, ożywienia, jakie wnoszą nieustannie zwiedzający je turyści. Tutaj kroki przechodnia rzadko przerywają ciszę, echo ich wywołuje w kącie ukrytą postać, która potokiem wymowy i objaśnień zdobyć usiłuje zdawna oczekiwany napiwek.



Piękna katedra gotycka przecina w połowie długą Strada del Duomo, grecki fronton kościoła św. Franciszka tworzy tło reprezentacyjnego placu del Plebiscito. Reszta starych kościołów, zagubiona w masie domów, drzemie w ciszy i pustce, oczekując

na miejscowy – niezbyt kwapiący się – ludek.

Centralnym punktem nowoczesnej dzielnicy jest plac Trieste e Trento, skąd rozchodzą się promienie ożywionych, przeładowanych sklepami ulic. Włosi są urodzonymi kupcami, odpowiada to ich ruchliwej gadatliwej naturze; każdy tu coś kupuje, sprzedaje, zachwala, nastrój jest

podniecony jak w każdym środowisku, gdzie w grę wchodzi pieniądz. Turyści i handel, dwie złotodajne żyły, są eksploatowane z południowym temperamentem. Witryny nęcą oczy przyjezdnych na pokusę wystawiając kieszeń; trudno się oprzeć wymowie pięknych kamei, biżuterji, małych cacek z brązu, korali, marmuru, w których pracowity artyzm włoskiego rzemieślnika przerabia i modeluje wzory piękna, przekazane mu przez dawną sztukę.

Ta właśnie sztuka z przed 2-ch tysięcy lat wypełnia sale Muzeum Narodowego i stanowi najbogatszy na świecie zbiór starożytności. Z wyjątkiem Pinakoteki i zbiorów Farnese, większość zabytków pochodzi z wykopalisk Pompei i Herculanium. Dawna sztuka, która tak znaczne w życiu zajmowała miejsce, wypełnia oddzielne sale mozaik, fresków ściennych, waz malowanych i sale bronzów. Te ostatnie przechowały się w lawie tak doskonale, zwłaszcza z wykopalisk Herculanium, że trudno w ich wiek uwierzyć. Pomiędzy nimi rozmieszczone sprzęty domowe, przedmioty codziennego użytku, opowiadają o życiu bujnym i radosnem; przechodząc z sali do sali, poznajemy to życie w najdrobniejszych szczegółach, gdyż w całokształcie zbiorów niema żadnej luki; przechowały się przedmioty naj-

drobniejsze jak: monety, biżuterja, przyrządy lekarskie, przyrządy do manicure, a nawet nie brak – zwęglonych lawą potraw.

Jest to jedno z ciekawszych muzeów świata, i słusznie chlubi się niem Neapol.

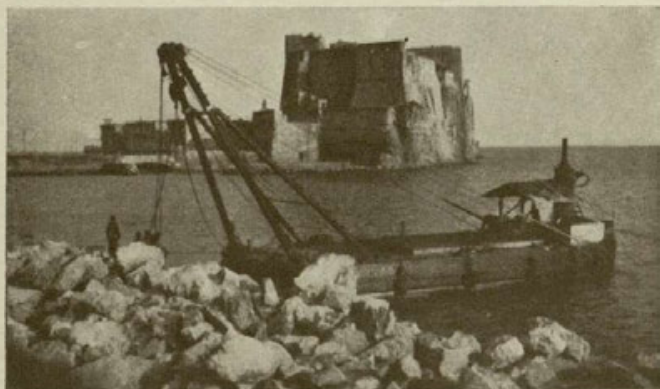
Innych zgoła wrażeń dostarcza słynne neapolitańskie akwarjum, w którym tajemnice dna morskiego rozmieszczono jak w gablotach za 28-miu szklanemi szybami.

Dokoła ciemnej sali połyskuje, porusza się i mieni dziwaczny świat: potworne worki polipów wyciągają nienasycone, chwyтлиwe ramiona; olbrzymie kraby, podobne do kamieni, drzemią nieruchomo; wąsate opancerzone langusty sterczą groźnie jak na pikiecie; kolorowe mięczaki – kwiaty morza – rozchylają listki, niby poruszone wiatrem chryzantemy. Z dna wyrastają krzaki koralu i gąbek, przezroczyste meduzy opuszczają z powierzchni koronkowe woale, osobliwe płaskie ryby chytrze zagrzebują się w piasek, skąd tylko wypatrzyć się daje jedno czujne oko.

A cała różnorodność i piękno form, niewinne ruchy, udany spokój, maskują zaciętą na śmierć i życie walkę o byt, w której twór słabszy staje się łupem silnego.

Pierwszy pogodny dzień przesunął całe zainteresowanie z ulic miasta na brzeg zatoki. Najpiękniejsze Golfo śmieje się w słońcu i tryumfuje; w radosnem powietrzu przelewa się bezmiar błękitu, gdzieś w dali granatowym cieniem znaczą się Ischia, Procida i Capri.

|| Leniwo kołysze się szafirowa woda w obję-



ciach miasta, co złocistym półkolem zbiega, pochyla się nad nią, zwężając się na krańcach w złotawą obręcz wybrzeża, które śmiałym łukiem zakreśla granice zatoki.

Prawe ramię sięga do pierwszego zakrętu przy Posilippo i załamuje się dalej; pośrodku wybiega w morze wyłoczony słońcem Castel del Ovo; na lewem ramieniu, odwinięty z mgły

i chmur, jak nierealne z morza wyrosłe zjawisko, ukazuje się Wczuwjusz.

„Nasza groza i nasza duma” – mówią o nim włosi i w tem powiedzeniu, które tak dobrze wyraża uczucia miejscowe, tkwi zarazem tajemnica uroku, przyciągającego tłumy.



Dziwnym kontrastem brutalna, niszczycielska siła, drżemiąca w głębi, przyjmuje pozory najbardziej subtelnej piękna. Wysunięty w morze, jakby oderwany od ziemi, płaski stożek znaczy się pastelowym konturem na błękicie nieba i wody, przyciągając wszystkie oczy, które

podziwiają go za pogody, wypatrują w deszczu i mgle, odszukują w ciemności.

Dopiero całkiem blisko, gdy Circum-Vesuviana obiega dokoła jego podstawę, przestaje być bajką i ukazuje swą prawdziwą, niepokojącą rzeczywistość.

Na ciemnych, nagich zboczach głębokie łożyska poryła spływająca w różnych kierunkach lawa, wypisując dokoła pamiętne daty wybuchów. W górze, na czystym błękitnie, rysuje się ponuro rozdarta krawędź krateru Somma.



Pociąg przebiega miasteczka, co wieńcem rozłożyły się u podnóża; Torre de Greco i Torre Anunziata roztapiają się w nadmorskim błękitnie, od strony ładu (schowane) w winnicach nadbiegają Boscoreale i Somma, inne nieustraszone pną się do góry, tworząc jaśniejsze oazy natlegranatowych zboczy.



Z Herculanium kolejka linowa dowozi na brzeg krateru; pochyłość zboczy staje się coraz większa, wreszcie, wspinając się prawie pionowo, kolejka zdaje się posuwać w powietrzu ponad błękitną z obu stron przepaścią.

Głuchym podziemnym grzmiotem wita Wezuwjuusz śmiałków, co wdarli się tutaj, lecz ukryć się przed nimi nie może. Ciekawe spojrzenia do-



cierają na dno zewnętrznego krateru, gdzie z zasypanej żużlem i lawą, dymiącej wszystkimi szczelinami Valle dell Inferno, wyrasta stożek wewnętrzny. To jest właściwy kocioł: gotuje się w nim i kipi, z wąskiej gardzieli raz po raz wybuchają obłoki gęstej pary z pobrzaskiem ognia i dymu i wystrzelają w niebo wspaniałym pióropuszem.



Lecz w perspektywie znów staje się bajką. Oto zachód oświetla go nawprost i wywołuje nieprawdopodobną grę kolorów: Wezuwjustz stoi w morzu jak dymiący korab, skośne promienie prześwietlają go nawskroś i, odbierając wszelką rzeczywistość, zamieniają w wizję ametystową, płonąca różowym blaskiem. Oczy w zdumieniu i zachwycie śledzą grę kolorów. W miarę jak słońce zapada, gasną różowe blaski, od dołu coraz wyżej wspina się liljowy zmierzch.

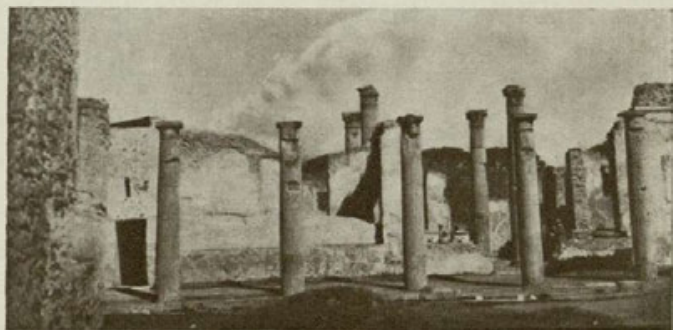
W niezmaconym spokoju Wezuwjustz pali fajkę i pograża się z wolna w wieczornym cieniu.

Cudowny wiosenny ranek.

Pociąg zatrzymuje się na stacji: Pompea!

Z wagonów wysypuje się ożywiony, zaciekawiony tłum. Przetrzymawszy wstępny atak przewodników, ofiarujących swe usługi, obleżenie sprzedawców kart, albumów i pamiątek, ruszamy wszyscy w jednym kierunku. Kilkanaście kroków dzieli stację od wejścia, do którego wstępem jest owalny, trawą zarosły dziedzińcyk, z muszlą fontanny pośrodku. Kamienne wrota Porta Nolana otwierają się w daleką przeszłość, przestępujemy ten próg i w jednej chwili, odbywszy wsteczną drogę wieków, stajemy na Strada di Nola w Pompei.

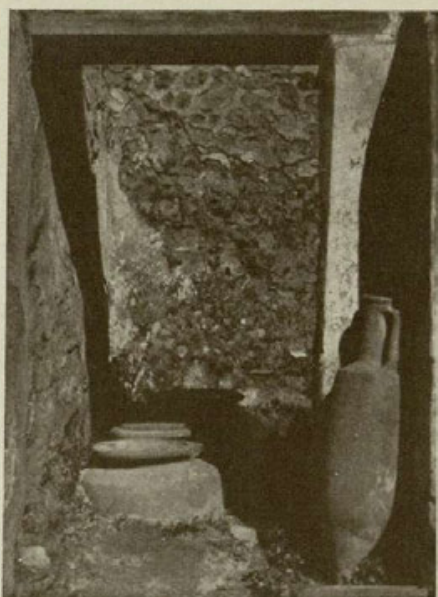
Kwietniowe słońce zalewa rozległe miasto, regularnie rozplanowane i zabudowane. Cisza. Z sąsiednich pól, pod którymi drzemią – być może – nieodkopane dzielnice, słychać śpiew ptaków, powietrze wibruje cykaniem koników



polnych, zielone jaszczurki przesuwają się bezszelestnie wśród murów i trawy. Inwazja turystów nie płoszy zadumy i jakby zapatrzenia się w rzeczy odległe, dalekie.

Gromadki rozpraszają się; przebiegają zżaleni przewodnicy, oprowadzający swoje stadka; od czasu do czasu ukaże się lektyka, jedyny sposób lokomocji – *antiquo modo*. Chwilowy gwar roztapia się bez śladu w przeszłości z przed 2-ich tysięcy, lat bardziej rzeczywistej i bliskiej, niż dzień dzisiejszy.

Prostą linią biegnie długa Strada di Nola, którą w połowie przecina Strade Stabiana; są to dwie główne arterje, dające początek rozgałęzionej sieci bocznych ulic. Wąskie, pogłębione jezdnie, wyłożone są płaskimi głazami, w odstępach ułożone wpoprzek kamienie oznaczają przejścia dla pieszych; wysokie, wąskie chodniki ciągną się po obu stronach, na każdym rogu stoją jednakowe studnie-fontanny. Płaskie domy, jak otwarte pudełka, ukazują wnętrza. Tuż przy chodniku otwierają się tawerny, małe sklepy wysuwają swe lady, kąty zapełniają gliniane amfory. Okazałe *case* kryją się za kolumnami zewnętrznych dziedzińców, których środek zdobią fontanny lub rzeźby. One to nadają nazwę niektórym domom jak znany Faun na Strade di No-



la. Mała uliczka przy Termach prowadzi na Forum: wydłużony prostokąt placu otacza po obu stronach las kolumn bazyliki, gmachów publicznych i świątyń. Przy wejściu wznosi się świątynia Júpitera, dalej –

świątynia Apollona, wąskim bokiem przytyka do Forum bazylika, której plan poziomy, zachowany doskonale przedstawia, prototyp późniejszych chrześcijańskich bazylik; Curia wypełnia głąb placu, pod drugiej stro-



nie stoją kolumny Eumachii, świątyni Wespazjana i Macellum. Dostojna powaga cechuje miejsce, gdzie dawniej koncentrowało się życie miasta; tętno tego życia tryumfuje nad katastrofą, która położyła mu kres, tryumfuje nad ciszą, panującą dzisiaj, i utajone bije i kipi dokoła radosne, gwarne jak niegdyś.

Hałaśliwa cizba przeciska się wąskim chodnikiem, oblega lady sklepowe, w tawernach kłóci się, gra w kości i pije. Środkiem ulicy wolno posuwają się lektyki i rwą się niecierpliwie konie wstrzymywanych kwadryg. Na Forum w skupionych gromadkach radzą patrycjusze; togi chlamidy i nagie brązowe ciała tworzą tłum uliczny, falujący ustawicznym ruchem...

Na Via dell Abondanza znajduje się teren ostatnich wykopalisk, które wykazują znaczny postęp i pietyzm w prowadzeniu robót. Praca polega dzisiaj nie na odkopywaniu, lecz na moliwnym zeskrobywaniu warstw ziemi, dzięki czemu ukazują się nietylko mury jak na wcześniejszych dzielnicach, lecz nienaruszone tynki, barwne freski i – co największe wywiera wrażenie – odezwy czy wezwania, pisane na murach czerwoną farbą. Te cenne zabytki ochrania dziś szkło i zabezpieczają przed słońcem płócienne markizy.



Jeden z ostatnio zdobytych domów, należący niegdyś do Lorio Tiburtino, przedstawia patrycjuszowski *home*, tak zachowany i utrzymany, jak zamieszkała siedziba, którą się zwiedza pod nieobecność mieszkańców. Wrażenie podnosi przywrócony do życia ogród, w którym wśród trawników i pnączy bielą się marmury. Domo-we ołtarze oczekują na ofiary, w niszach nienaruszone stoją boginie; nawet słoneczny spokój, właściwy ówczesnemu życiu, zdaje się przetrwał nienaruszony i panuje tu wszechwładnie.

Ścieżka wśród zielonych kłoszących się zbóż doprowadza do kotliny, gdzie wspaniałym kręgiem dobywa się z ziemi amfiteatr, najstarszy z amfiteatrów starożytnych, zbudowany 270 r. przed naszą erą. Patrząc na olbrzymie ruiny

wśród pól, nie wiemy, czy dobywają się one z pod ziemi, czy – zapomniane – zapadają się pod nią; od owalnej areny rozchodzą się niby koła na wodzie niezliczone pierścienie rzędów, lekko zaznaczają się na powierzchni, miejscami giną i znów ukazują się dalszemi kręgami.

Przenikamy w obręcz murów, wspinamy się po stopniach, przesuwamy wśród rzędów, w których zbierała

się 20-sto tysięczna niecierpliwa, oczekująca publiczność, adziś martwota zalega, bardziej przeraźliwa w pełni



wiosennego słońca. Ruiny teatru, oderwane od miasta, straciły związek z przeszłością, którą słyszy się i wyczuwa na ulicach Pompei; tutaj pojedyncze jej echo głuży żywe, odradzające się piękno natury.

Kończy się pracowity dzień – Pompea pu stoszeje. Jako najcenniejszy dar zabiera się stąd kojący pokój rzeczy minionych i radosną pewnością, że nie istnieje ni czas, ni śmierć: jedna

wszechobejmująca jak niebo wieczność zamyka
w sobie wszystko, co było, jest i będzie.

Z portu Beverello biały statek wypływa
na morze koloru ciemnej akwamaryny, którego
niespokojny odmęt wznosi się i zapada; statek
ześlizguje się lekko z fali na fale, niebieskawy
Wezuwjuusz odpływa w dal, zato coraz wyraźniej
występuje z morza biały pas Sorrento. *O sole*



mio, – błogo-
sławione i cu-
downe, tu jest
twoja chwała
i twoje króle-
stwo! Kamien-
ny bulwar, wy-
ciosany w ska-
le, wynurza się

z szafiru, na nim szeregiem przeglądają z zieleni
wille i domki „oazy miłości”. Między brzegiem
Sorrento a skalistą Capri morze miota się w bez-
silnym gniewie na zapory, co tamują jego swobod-
ny nieskończony rytm. Zamglony kontur wyspy
przybliży się, ciemnieje i wyrasta nawprost pio-
nową skałą, niby twierdza surowa i nieprzystęp-
na. Rozbija się z wściekłością fala o jej granatowe
boki, nie dając przystępu statkom; tylko w dwóch

miejskach lądować mogą małe łódeczki. Statek zatrzymuje się w odległości od Marina Granda: stado białych łodzi śpieszy od brzegu i zabiera podróżnych, których w parę minut kolejka winduje w górę i wyrzuca na taras, skąd morze wydaje się dalekiem wspomnieniem.

Miasteczko na wysokiej przełęczy między dwoma cyplami ukrywa się, jak rozkoszne gniazdo we wnętrzu niegościnniej wyspy. Powstało zda się dla zabawy, z miłego kaprysu, z radosnej uciechy; miniaturowe domki, uliczki, są jak zabawki dziecinne, ustawione „na niby”. Bez troska radość narówni ze słońcem zalewa mały światek, oddzielony od zawitych spraw życia.

Z placyku del Municipio biegną uliczki w dół i w górę; niektóre sklepione jak korytarze przypominają, że na słonecznej wyspie w zimowe miesiące przychodzą wichury, co ludzi z nóg ścinają. Droga wspina się w górę kamiennymi stopniami pod szarym murem, który zazdrośnie coś strzeże; naraz mur się urywa, otwiera się wejście do zaczarowanego królestwa, gdzie willa w kwiatkach, ogrody, cienisty wirydarz z kolumn i zieleni tworzą zbytek piękna, w którym jednako kocha się tutaj natura i człowiek i jednako rozrzutnie stwarza je dokoła.

Z radością witają oczy nazwisko Jana Styki, wypisane po polsku na marmurowej tablicy przy wejściu do jednego z tych miejsc uroczych.

Na południowym stoku jednostronnie zabudowane uliczki zwracają się całe ku słońcu i morzu. Agawy i gruboliściaste kaktusy zbitym żywopłotem odgradzają je od pochyłości, co tarasami spada na brzeg morza. Słońce święci tu kwietne orgje: naręcza pnączy przerzucają się przez mury, domy, balkony toną w gałęziach kwitnących glicynji. Każdy szczegół zdaje się być zawieszonym w przestrzeni nad nieskończonym, srebrzystym mieniącym się błękitem, co, ujmując „perłę Golfu” w najpiękniejszą oprawę, zatacza dokoła wyspy przestrzennie powietrzną panoramę, zagląda do miasteczka przez wyloty i zakręty ulic, panuje nad wszystkim.

Ławka, zwrócona ku morzu, zaprasza do siesty; nie dziw, że ludzie popadają tutaj łatwo w nałóg słodkiego *farniente*. Słońce zalewa dobroczynnym ciepłem i obezwładnia, wszystko dokoła bezgłośnie śpiewa o szczęściu: na krótką chwilę zatrzymuje się myśl i ztraca się bez reszty w radosnym Bycie.

Szereg zacisznych trattorji przypomina o lunch'u. Z poza kwietnej zasłony werendy

oczy śledzą przechodniów. Napływ cudzoziemców gęszy ludność miejscową, znacznie w typie ciekawszą; od międzynarodowej mieszaniny, przyodzianej w obowiązkowe Burrbery, rogowe okulary, gumowe buty, odbija kapryjski rybak, przekupień koralu. Siwobrody starzec w miejscowym stroju ludowym przechadza się powoli, wygląda jak manekin z etnograficznej gabloty; podobno od lat tak paraduje, obnosząc swój typ, i spienięża go jak może. Lapią go wszystkie obiektywy, rysują, malują jako szczątkowy okaz „ludowy”, który naogół rzadko się już we Włoszech widzieć daje.



Wśród cudzoziemców przeważają Anglicy, zjeżdżają tu w sezonie i obejmują wyspę na swój wyłączny użytek, wypełniając miasteczko całkowicie przez swoje korty, flanele, psy i rakiety.

Codzienny statek przywozi coraz nowych poszukiwaczy piękna, których nieustanny po-

chód przeciąga przez małą wyspę, czyniąc ją
wspólnem dobrem wszystkich.

Dla tych, co zbaczają tutaj na chwilę z sze-
rokich gościńców świata, Capri jest jak wino,
jak włoska piosenka: życia wypełnić nie może,
lecz jednych darzy rozkoszną przygodą, dla
innych bywa odjazdem w marzenie.

Z SYCYLIJSKICH WRAŻEŃ

W Neapolu, na którym urywa się większość wycieczek, kończą się również wygodne Pulmany, dalej niesie pociąg miejscowy trzęsący, hałaśliwy. Opinji jego uratować nie mogą wciśnięte w środek międzynarodowe wagony sypialne, w których spać wogóle nie sposób: głowa raz leci w dół, to znów nogi spadają do ziemi. Pęd tej drogi, w piekielnym hałasie przelatywanych tuneli, w zgrzycie i klekocie rozluźnianego żelaztwa, w gwałtownem oscyłowaniu wozu, odbywa się w niemem przerażeniu, niczem pęd ku nieuniknionej zagubie. Przestrzeń ucieka; w ciemnościach nocy pociąg opisuje ostatni łuk apenińskiego buta i zatrzymuje się rankiem na samym czubku nosa – w Villa San Giovanni.

Tu urywa się droga; pociąg ładują na statek i po półgodzinnej, niemile kołyszącej przeprawie przez cieśninę, lądujemy w Messynie.

Pamięć tragicznej katastrofy ciąży nad wszystkim i godzina postoju upływa na rozpańtywaniu, które nie budzą zaufania do nieznaney wyspy. Z pod wpływów Wezuwjusza dostajemy się w obręb wpływu Etny, niewidocznej

stąd, lecz bliskiej. Ona króluje na tym terenie: imię jej powtarzane jest ciągle, a oczy mimowoli kierują się w stronę, gdzie się znajduje.

Odtąd już Sycylja przemawia własnym językiem.

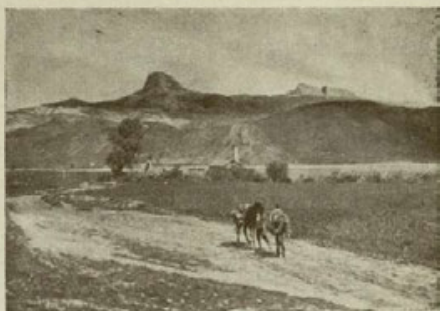
Zainteresowanie wzrasta, utajone niebezpieczeństwo fascynuje i budzi szczyptę niepokoju, który już nie wygasa.

Oto z grupy wysp Liparyjskich na morzu wynurza się niepozorny wulkan Stromboli, sprawca zguby Messyny. Jest mały, wygląda niewinnie, trudno uwierzyć, że kryje się w nim taka moc zniszczenia. Lecz niebezpieczeństwo ludzi nie odstrasza: zarówno wulkan jak otaczające go drobne wysepki są zamieszkałe – służą jako miejsce zesłania.

Przepiękna droga biegnie północnym brzegiem Sycylii nad samem morzem; po drugiej stronie na bezchmurnem niebie rysuje się łańcuchem gór sylweta wyspy, niepokojąca, niesamowita. Nawet w blaskach słońca kraj dziwaczny i groźny.

Osobliwa forma gór, które są jak śpiczaste stożki, ich ostre jakby nożem ścinane płaszczyzny, nagość szara, co nawet pogodne niebo przyciemnia – wszystko mówi o wulkanicznym początku, o straszliwych siłach, co wyspę wy-

dźwignęły z morza, o ogniu wewnętrznym, który ją kształtował, póki nie zastygła w swej dziwacznej formie.



A jednocześnie z ziemi tej bije zapamiętała szczęśliwość, błękitny dzień stoi nad nią, jak zapowiedź wiecznego przymierza ze słońcem, za którego sprawą trwa wieczne święto kwitnienia i rozwoju, nieograniczone nakazami zimy. Tajemniczym powinowactwem z głębi ziemi wyrasta odpowiednia flora: cóż trafniej dopełnić może sycylijski krajobraz, jak szaro-zielona ostra agawa, rosnąca dziko, lub grubo-mięsiste łapy kaktusów, te same, co na Capri, które tutaj wyrastają w drzewa. Wzdłuż plantu ciągnie się ta kanciata roślinność;



nieprzywykłe do niej oczy mile witają dobrze znajomą czerwoną pelargonję, co przez kaktusy przeciska się i miękką zielenią łagodzi ich sztywność.

Ośm bitych godzin jedzie się z Messyny do Palermo. W bezustannym kontraście ciemnych tunelów i południowego blasku przelatujemy północny brzeg Sycylii: odrębne wrażenia, jakie wywołuje rozgorzała słońcem, piękna lecz złowroga wyspa, dają się streścić w powiedzeniu, które nasuwa się samo: taniec na wulkanie.

Przed samem Palermo pociąg odrywa się od brzegu i przecina dolinę Conca d'Oro.

Góry, otaczające półkolem zatokę, zniżają się ku morzu i tworzą niewielką dolinkę, której ośrodkiem nadmorskim, ściągającym wszystkie soki i promienie, jest Palermo. Conca d'Oro – sama nazwa określa charakter tego miejsca, obdarowanego łaską natury: jakby ze spadkiem terenu, cała urodzajność ziemi spłynęła z nagich skał w błogosławioną dolinkę o najcudowniejszym klimacie, wypełnioną gajami cytryn i pomarańcz, otoczoną wieńcem winnic.

Pomarańcze owocują tu dwa razy do roku, cytryny dają cztery zbiory; ich świeżą zieloność przetykają szare kędzierzawe oliwki i pokręcone drzewka figowe.

Dolinkę od północy zamyka odosobnione Monte Pellegrino, wielki skalisty blok, cudacznie

ścięty, który
dziwnym ka-
prysem natu-
ry wyrasta
nad samem
morzem, sta-
nowiąc chara-



akterystyczne tło położonego w dole miasta. Zatoką kreśli u brzegu łagodne półkole, pośrodku skupia się Palermo, z którego szczęśliwe warunki uczyniły nie tylko stolicę Sycylii, lecz jeden z ważniejszych portów Italji: stąd wyruszają statki oceaniczne, kursujące na szlaku morskim między południem Europy i Ameryki.

Pierwsze, co wpada w oczy poprzez smugi rzęśistego deszczu przy wjeździe do miasta, jest stado brązowych górskich kóz, cisnące się na jakimś placu, zbite w gromadę, stropione



d e s z c z e m.

Odtąd często widać będziemy te żywicielki rodzin, które narówni z osłem stanowią dopełnie-



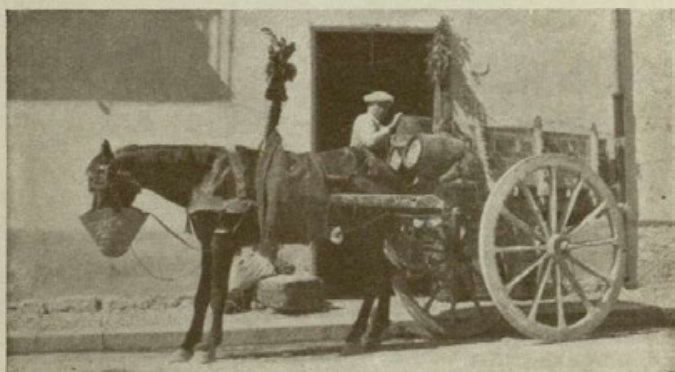
nie Sycylii od strony fauny. Na brudnych przedmiściach wałęsają się gromadki kóz: w domostwach tak zaniedbanych, że aż przestają być malownicze, współżyją z ludnością podmiejską. Małe figlarne koźlęta wzrastają i bawią się z dziećmi, a ich pocieszne skoki rozweselają otoczenie.

Osiol widocznie tylko w Polsce bywa leniwy i krnąbrny; tutaj jest z acem i najpracowitszym pod słońcem stworzeniem. Zręczne jego kopytka są niezastąpione na stromych kamieni-



stych ścieżkach, wyrugował też konie prawie w zupełności.

Mieszkańcy stroją go w wymyślną uprząż: wyszywane czapraki, pióropusze, pompony, którymi obwieszony lilipuci osiołek o ciemno-popielatej aksamitnej sierści wygląda jak śliczna żywa zabawka. Zaprząg dopełnia dwukołowy wysoki wózek do wina, malowany od kół do dy-



szła w jaskrawe arabeski. Jest to zaprząg świąteczny; w powszedni dzień to niewielkie stworzenie dźwiga pod górę ciężary, przechodzące jego siły, to też przeciągły ryk niby żałosna skarga odbija się bezustannym echem od gór i dolin i jest głosem miejscowej natury.

Przebyta od Neapolu przestrzeń zaznacza się wyraźnie różnicą w klimacie i roślinności:



wczesne kwietniowe słońce dopieka, gdy tylko się ukaze, a niewielki skwer Garibaldiiego przy Piazza Marino zadziwia okazami dotąd niewidzianymi.

Magnolje są jak wielkie dęby, palmy – jak sosny; jakieś drobnolistne olbrzymy, strzyżone w kwadrat, przypominają nasze graby, – wszystko ma niebywale pnie, pokręcone dziwacznie; korzenie jak nabrzmiałe żyły pokrywają powierzchnię i wbijają się w ziemię okrutnymi szponami; gałęzie, zwisając, wrastają w ziemię i tworzą gęstwę pni, podobną do szarych stalaktytów.

Piękny ogród palmowy na Piazza Vittoria nie o południu już mówi, lecz o zwrotnikach. Prze-

różne okazy co do gatunku i wielkości dają w masie wrażenie smukłej powiewności; pierzaste czuby bujają na wietrze, piękne jak kolumny pnie zdobi rzeźba nacięcia liści. Niosą powiew niedalekiej Afryki, wizję pustyni i ukrytych w niej oaz.

Na placu przed Duomo rosną banany; na jednym zwieszają się cudaczny ciężki kwiat, a pod nim pęk owoców.

Jeszcze nie kwitną drzewa i kwiaty, natura opóźnia wiosenny przepych, lecz lada dzień rozwinię się wszystko, by dojść do zenitu przed skwarem lata, przed zabójczym zniszczeniem słońca.



Miasto jest rozległe i ożywione; zabudowało się wgłąb, wykorzystując odcinek wybrzeża jako port jedynie. Wśród nowych domów pełno szczątków starej architektury, świadczącej o dawnej tradycji i o większej jeszcze jak w Neapolu



rozmaitości wpływów obcych. Któż tu nie rządził? – normandowie, saraceni, hiszpanie, arabowie, francuzi, – wszyscy zapisywali kronikę w architekturze miasta.

Stare Duomo z XII w. wypełnia plac masą złotych murów. Jest to piękny dawny gotyk, zepsuty późniejszymi kopulastymi przybudówkami,

pomimo to, zwłaszcza zewnątrz, przedstawia się imponująco. W prostej linii od Duomo mija się ogród palmowy na placu Vittoria i dochodzi do starej bramy Porta Nuova, do której przytyka wysoki teren zabudowań pałacu królewskiego. Tutaj kryje się perła miejscowych zabytków, Capella Palatino, najpiękniejsza kaplica włoska w stylu arabo-normandzkim, zbudowana w XII w. Wnętrze ma formę bazyliki, jest małe, lecz jak klejnot bogate. Ściany, pokryte złotem mozaik, zlewają się cudownie z ciemnym rzeźbionym sklepieniem i kosztowną mozaiką posadzki. Przez podłużne, głębokie okna witrażowe, umieszczone wysoko, przesącza się łagod-

ne kolorowe światło i, załamując się na złoconych ścianach, wypełnia wnętrza złocistym półmrokiem tajemnicy. Ta gra światła stanowi – poza pięknem – największy urok kaplicy.

Podobnie jak w innych ośrodkach, w Palermo kwitnie ożywiony handel. Via Roma, Via Magueda – to nieprzerwany szereg sklepów, których wystawy, objęte jednostajną ramą ciemnego szkła i szyldów, mogą być przeniesione do każdej stolicy, w pierwszym rzędzie do upośledzonej pod tym względem Warszawy.

Nasuwa się przypuszczenie, że, o ile artyzm i zamiłowanie kunsztownego zdobnictwa stanowią wrodzoną cechę Włochów, o tyle nieidące z tem zwykle w parze zdolności i zamiłowanie kupieckie wynikają z przymieszki krwi semickiej, asymilowanej przez ludność w ciągu wieków. Potwierdzają to typy południowców o tak wybitnie wschodnim nalocie, że nieomylna wrażliwość słowiańska wyczuwa w nieżydowskiej Italii utajoną obecność obcej rasy, której zresztą potęga i wpływy są znane.

Z handlowego śródmieścia, ze skupiska starych domów i ulic, otwiera się perspektywa nowej dzielnicy, planowana z wielkomięskim rozmachem. W otwartej przestrzeni placów, szerokich bulwarów, uwydatnia się architektura te-



atru, piękno pałaców, które przedzielają swobodnie rozrzucone ogrody, a smukłe palmy na ulicach nadają tej części miasta egzotyczny wdzięk. Morze, poza portem brudnym i brzydkim, niewyzyskane zupełnie; jakby lek-

ceważąc jego piękno i znaczenie, miasto odwróciło się od brzegu i odeszło w głąb. Jedyne spacer nadmorski to Foro Umberto, który na krótkim odcinku łączy ogrody Flora i botaniczny, z wybiegającym w morze ramieniem portowego molo.

Plagą miejscową jest kurz drobny, wapienny, którego tumany wznoszą się w porcie, na przedmieściach i drogach, szarą warstwą przysypują roślinność i czyhają na przechodniów u bram miasta, wciskając się do oczu i gardła.

To zniechęca do pozamiejskich wycieczek, z których najbliższa prowadzi do ogrodów: Angielskiego, Faworyty, Willi Igca, położonych na

stokach nad morzem, pełnych świeżej zieleności. Bramy ich otwierają się z zakurzonego przedmieścia, niby wrota raju, do którego, zamiast archanioła z mieczem, bronią wstępu wysokie ceny pensjonatów, dostępne tylko dla nielicznych wybrańców.

Okres wielkanocny daje specjalne pole do obserwacji i spostrzeżeń. Pobożność włochów, tych katolików najczystszej krwi, ma swój odrębny charakter: wypływa z uczuciowości powierzchownej, manifestującej się nazewnątrz, lecz pozbawiona jest duchowej głębi. Pobożni są bez wątpienia, po wszystkie wieki trwały wyraz temu dają najwspanialsze kościoły: w miastach, co drugi dom – kościół lub kaplica, na murach ołtarzyki, wizerunki świętych, przed nimi palące się lampki, a na wszystkich ustach – imię Madonny.

Lecz gdy nasze kościoły, przepełnione w niedziele, zapełniają się i w powszednie ranki, tu nawet w wielkim tygodniu świecą pustką wspinałe katedry, bezcenne kaplice. Głucha cisza panuje również przy konfesjonałach.

Jednym z najbardziej swoistych objawów tej pobożności jest ceremonia wielkopiątkowa w Palermo: tłum ludzi z orkiestrą obchodzi ulice, niosąc żałobny posąg Madonny. Podstawą posągu

jest skrzynia, naładowana ciężkimi kamieniami, dźwiga ją po kilkunastu mężczyzn z każdej strony, którzy z wysiłku zalewają się potem i zmieniają się co chwila, ustępując miejsca innym. Pochód ma być upamiętnieniem drogi krzyżowej i upadku Chrystusa.

Ludność, która świętuje od niedzieli, wylega na ulice: dzieci i młodzież, ubrane żałobnie, są niemniej przez to ożywione, skupienia i powagi ani śladu, wygląd miasta bardziej jeszcze żywiłowy. Ekspansywna pobożność wyczerpuje się całkowicie w oznakach i obchodach.



W starej katedrze w Monreale asystujemy przy ceremonjach wielkoczwartkowych.

Tramwaj miejski przejeżdża przez dolinę Conca d'Oro do

Rocca, skąd w górę wciąga go po stromym terenie kolejka. Zdaje się jechać prosto do nieba, którego rozgorzały, matowy błękit pochyla się nisko nad ziemią. Widnokrąg rozszerza się coraz bardziej, wzrok, oswobodzony z ciasnoty miejskiej, z rozkoszą buja od brzegów morza do szarych gór, obejmując

białe miasto i zadrzewioną, jak jeden ogród, dolinę.

Monreale na wysokości 300 mtr. jest starodawną twierdzą katolicyzmu z klasztorem, episkopatem i normandzką katedrą z XII w. Z czasem obok kościelnych murów wyrosło miastecz-



ko małe i nieznaczące. Dostojna fasada katedry otwiera się na mały placzyk, a wydłużonym bokiem wchodzi w kwadrat wewnętrznego dziedzińca, dokoła którego skupiły się zabudowania klasztoru i episkopatu. Jest to zamknięty w sobie, odgradzony od świata, zakątek średniowiecza.



Powaga i piękno zewnętrzne bazyliki harmonizuje z pięknem wnętrza, które jest wiernym powtórzeniem Capella Palatino w zwiększonych rozmiarach: te same głębokie okna, bogaty plafon, przyćmione złoto ścian, przepiękne mozaiki podłogi.

Przed ołtarzem ruch: biskup celebrowe w asyście kleru, księża wchodzą, wychodzą, przyklękają, siadają; w nawach, w nastroju ospałym, przyglądają się temu nieliczni mieszkańcy i garstka przyjezdnych z Palermo. Ludność ubrana po miejsku; nawet w uroczystym przedświątecznym tygodniu nie ukazują się tradycyjne ubrania ludowe. Szaryzna bytowania wyrugowała je z życia i dziś tylko na starych obrazach oglądać można malownicze sycylijskie stroje.

Balkon pokoju hotelowego wychodzi na plac niewielki, zabudowany w kwadrat, którego

całą przestrzeń wypełnia skwer, trochę zaniedbany i mocno przykurzony. Na skwerze pojedyncza palma podnosi w górę rozczochraną głowę, a dołem harcują koty.

Pod domami przemykają się wąskie uliczki dla pieszych, niema tu ruchu kołowego i nie słyhać miasta. Placyk żyje własnym życiem drobnych codziennych spraw, których głosy płyną dokoła z otwartych okien i balkonów i, mieszając się z echem kroków i rozmów na ulicy, wypełniają te miejsca bliskim sąsiedzkim pogwarem.

Nieznany ptak na skwerku, na podobieństwo wilgi, wyciąga uparcie jeden trel; melodykon przed domem wygrywać zaczyna popularne piosenki: przypominają tańce hiszpańskie, mają jak wszystko dokoła gorący, południowy ton. Cała Sycylja śpiewa w nich, tańczy przy suchym dźwięku kastanietów, chwilami krzyczy ze szczęścia czy grozy.

Sycylijska piosenka śpiewa za oknami i wpada do pokoju, jako pojedynczy głos życia całej ziemi, którego nieprzebrana różnorodność w każdym kraju, od północy do południa, przejawia tyle odrębnego piękna i wyrazu.

Gdybyż można to wszystko wchłonąć w siebie, odczuć, zrozumieć i przeżyć!

Palermo na dłuższy pobyt nie nadaje się wcale: jest miastem nadmorskiem bez morza, ma wszystkie hotele w śródmieściu, bruki, asfalty i kurz po paru dniach nużą, budząc tęsknotę do natury, której bliskie piękno wyczuwa się za murami.

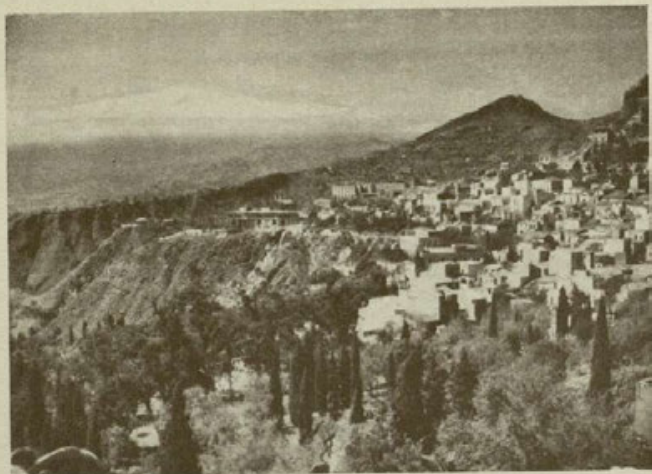
Z tej tęsknoty poczęte, jako najdoskonalsze jej spełnienie, wypływa słowo – Taormina.

Taormina – Mekka Sycylji, której ominąć nie wolno.

Messyna jest bramą Sycylji: od niej się zaczynają i na niej się kończą wszystkie objazdy.

Północna linja z Palermo tu ma swój kres: stąd wyrusza wschodnia odnoga, na której pierwszą stacją jest Taormina. Przybywa się na miejsce o godz. 10-ej wieczorem.

Wjazd w nocy przy księżycu od stacji do miasteczka na górze przypomina böcklinowską balladę. Droga wije się serpentyną dokoła góry, reflektory mknących samochodów rzucają smugi światła z poza czarnej koronki drzew, nikną na zakrętach i znów ukazują się na coraz wyższym poziomie. Krajobraz tonie w księżycowej poświacie, tylko bliskie góry w głębokim cieniu zastępują drogę. Wdole srebrzy się gładkie jak jezioro morze.



Samochód, sprzymierzeniec nastroju, sunie bezszelestnie po doskonałym asfalcie: wydstawszy się na górę, skręca z wąskiej uliczki w ogród, zatacza płynne półkole i nieruchomieje przed niskim, jasno oświetlonym frontem Miramare.

Wyfraczona służba oczekuje, oczekuje wyfraczony maitre, który w roli uprzejmego gospodarza wita, wprowadza, a upewniwszy się, że goście niczego poza spoczynkiem nie pragną, na progu pokoju życzy dobrej nocy.

Rankiem niecierpliwie szarpnięta okiennica odskakuje i do pokoju wpada powódź słońca; w otwarte okno zagląda niebieska dal powietrza,



nieba, morza, a widok w dole wywołuje okrzyk zdumienia i zachwytu.

Niski od strony wjazdu hotel okazuje się kilkupiętrowym gmachem, wpartym mocno w pochyłość góry; opasany werandami, wysyła z różnych pięter w piękny świat szerokie tarasy. Zbocza opadają w ogrodach, w kędzierzawych oliwkach, wdole biała plaża rysuje kontur brzegu, u podnóża góry zakręca w małą zatoczkę, nad którą góry schodzą w dal coraz niższe, coraz bledsze.

Niebieskawe senne morze lśni w słońcu i wzdycha lekko miarowym poszumem.

Nad wszystkim stoi świąteczna cisza wielkanocnej niedzieli.

Około południa pogodny dzień zamienia się w fata morgane, w ramach tego piękna niezwykle ciekawą.

Rano od morza odrywają się białe obłoczki, lekkie jak pajęczyna i, czepiając się zboczy, podnoszą się wyżej.

Łącząc się, jakby podawały sobie ręce, przetwarzają się w mgiełkę, zrazu przejrzystą, która zgęszcza się szybko, i wkrótce cały przestwór wypełnia się mleczną, nieprzenikliwą mgłą. Zakrywa ona oczom całe piękno; wszystko zatapia: góry, zbocza, morze, nikną w niej nawet najbliższe kontury; jakby białe, nieprzejrzyste morze podniosło się zdołu i zalało świat.

Po południu mleczna zasłona zaczyna gęstnieć i opuszczać się: ukazuje się najpierw seledynowe przeczyste niebo, na które mgła układa się w zwały białe, pasma, smugi. Po pewnym czasie wynurzają się to tu, to tam najwyższe punkty: wierzchołek góry, wieża, zamczysko – wszystko zawieszona w obłokach, bez podstaw, wygląda niczem niebieskie zjawisko. Zwały mgły przetwarzają się w skłębione obłoki, które coraz niżej opadają na zbocza; pod wieczór ukazuje się

nanowo jasny, pogodny świat, tylko morze zginęło: obłoki przypadły do niego i ciężko ułożyły się od brzegu do brzegu, wypełniając obszar cały wełnistą masą. Stwarza to nowe złudzenie: chmuury leżą w dole, a zamiast morza – niebo rozciąga się u naszych stóp. Słońce, zachodzące za górami, przesuwa po niem różowy reflektor i powiększa niezwykle efekt widoku.

Zjawisko takie, które zdarza się dość rzadko, bywa skutkiem raptownego ogrzania morza i zbyt silnego w następstwie parowania.

Dokoła Monte Tauro, w koronie zębatego Castello, wyrosło na stokach niewielkie miasteczko, którego piękno jest racją istnienia i źródłem egzystencji: ma 20 hoteli i żyje z turystów.



Wąska uliczka od wjazdu biegnie równoległe do morza między murami ogrodów, z których wyglądają hotele,

migają raz po raz płaskie domy i greckie kolumny; ciemne Monte Tauro zamyka jej wylot. U podnóża góry skręt pod kątem wprowadza przez Porta Messina na główną ulicę, zwaną szumnie Corso Umberto.

I ta biegnie równoległe do morza, lecz z innej strony, inne też otwiera widoki, a przede wszystkim ukazuje największy urok Taorminy – Etnę.

Jak wszędzie w tym odwiecznym kraju, nowe życie narasta na dawnem: w starym *palazzo* mieszczą się sklepy, klasztor przerobiono na hotel; każdy dom szczyli się resztką kolumny, starym kapitelem lub pięknym łukiem. Przeróżny towar wysypują sklepy na wąskie przejście ulicy: doskonale podrabiane *antichita e belle arte*, barwne szale, parasolki, torebki odcinają się od murów jak kwiaty; zza szyb wyglądają zaciszne wnętrza *thee room'ów*, obmyślane ku wygodzie uprzywilejowanych anglików.

Tutaj skupia się całe życie miejscowe: handel, duomo, urzędy; tędy po całych dniach włóczą się, przystając przed sklepami, cudzoziemcy. Uliczka mija dwa placyki, przechodzi pod sklepieniem dwóch wiekowych bram i kończy się tarasem nad urwiskiem, który jest punktem obserwacyjnym Etny.

Leży w stronie południowo-zachodniej, przeogromna, wspaniała; szeroką podstawą zrasta się z ziemią, a wierzchołkiem, w bieli śniegów, należy do nieba.

Z ciemnego rąbka krateru, ponad śniegami, nie unosi się żaden obłoczek: śpi, niezbadana w swym majestacie i tajemnicy.

Ecco Etna – ukazuje biczyskiem woźnica; rybacy w barkach, ludność na *piazza* z dumą wskazują na nią przybyłym.

Ecco Etna – kierują się w jej stronę lornety, kodaki, spojrzenia, płyną głośnie różnorodnych zachwyty; niekiedy zabłąkane oczy słowianina obejmą ją w cichym podziwieniu.

Z równiny Katanji wyrasta, jako jeden z największych wulkanów świata, o diametrze 40 m. wysokości 3300 m.

W oddaleniu ze wszystkich stron ukazuje formę regularnego stożka, co nie przeszkadza, że zbocza usiane są kraterami, naprzemian czynnymi, których liczba dochodzi do 200. Historia Etny zapisuje od czasów starożytnych 80 wybuchów, z których 7 przypada na wiek XX; potoki ostatniej lawy z przed pięciu lat, pod zewnętrzną skorupą, dotąd zachowują żar. Łagodne zbocze, którem Etna spływa do morza, jest tak zniszczone, że nawet zdaleka odcina się od ogól-

nego tła martwym, szarym wyglądem. Pomimo to, osamotniona nie jest: białe miasteczka przywarły do podnóża, jak poddani do stóp królowej.

Kochana jest i podziwiana od wieków; gdy grecy przed 2 tysiącami lat budowali teatr, wybrali miejsce na stoku nawprost Etny, rozsunęli mury, oprawili je w kolumny, jako najpiękniej-



szą dekorację sceniczną. Dziś teatr rozsypał się w gruzy, czas potrzaskał kolumny, lecz dekoracja nienaruszona trwa i tak samo zachwyca przygodnych widzów, jak niegdyś zachwycała zakochanych w pięknie Hellenów.

Ten właśnie teatr grecki na stokach, drugi co do wielkości teatr starożytny na Sycylii, jest najbardziej malowniczym miejscem Taorminy.

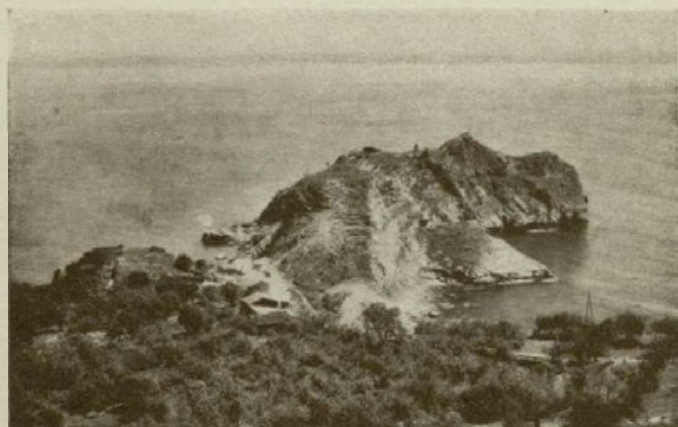
Zadziwia w nim najbardziej umiejętnie wyzyskanie terenu; natura i człowiek podali sobie rękę, tworząc całość, podziwu godną. Zbudowany w naturalnem zagłębieniu wzgórza, ze sceną zwróconą wprost na Etnę, nie przestaje być i dzisiaj zmiennem widowiskiem: od wschodu do zachodu słońca przechodzi przez różne, zawsze ciekawe fazy oświetlenia, a najpiękniejszy widok



otwiera się stąd rankiem, gdy niskie jeszcze słońce oświetla wprost Etnę, która lśni w swych gronostajach, owinięta w chmury.

Na tarasie hotelowym pusto: palmy w wazonach rzucają nieco cienia, rozstawione fotele ofiarują wygodne siedzenia i oparcia. Doskonała cisza panuje dookoła, cisza radosna, bliska Boga. Życie pozostało w dole i odzywa się coraz to porykiem osła, to echem przelatującego przez tunel pociągu, to dalekiem ujadaniem psów. Lecz głosy wracają, skąd przyszły, odbijają się od ci-

szy, nie naruszając jej wcale. Tylko ledwo dosłyszalny szum morza przenika ją i jeszcze bardziej pogłębia. Ludzie na brzegu poruszają się jak mrówki. Do morza wpełza wielki szary



żółt – Cap San Andrea, zalotnie zabiega mu w morzu drogę Isola Bella; dokoła nich krążą łódeczki, niby małe chrząszczyki, poruszające łapkami wiosel.

Na horyzoncie majaczy zamglona Calabria, na której w słońcu rozróżnić można góry, miasta i wysokie brzegi; wieczorem cała migoce tysiącem białych światełek.

...Jesteś rajem świata Taormino, Taormino...
Piękno Twe niema ceny, wartas jest życia.



Ciągną ludzie z północy, ze wschodu i zachodu, by
ujrzeć cię i podziwiać.

Zakochać się można w tobie, w ciszy twego
nieba, dokąd nie dochodzi zgiełk świata.

Chociaż na północy waruje Stromboli, a na
południe rozsiadła się Etna, niema siły, która
by od ciebie oderwać mogła.

Zmiotło raz morze pobliską Messynę, lecz ludzie
napłynęli jak mrówki i odbudowali się nanowo.
I powrócą zawsze, gdyż rozkosz tego życia jest
większa, niż obawa śmierci.

O 5-ej zajęte są stoliki w *Cafe Nuova*.

Panuje nastrój zaciszny, nieprzypominający w niczem gwaru zwykłej kawiarni. O miejsce w długim zagłębieniu zabiegają wszyscy: są tu ściany, wyłożone ciemnym drzewem, dwa rzędy kanapek i niskich stolików, przyćmione światło abażurów. W ładnej zastawie podają doskonałą herbatę i mokkę; w aromacie kawy waży się egzotyzm nieznanych lądów, odmiennych kultur, a niebieskawe smugi dymu z papierosów zwijają się w fata morgane afrykańskich brzegów.

Arja Verdiego płoszy zjawę; rozpoczynają się zwykle atrakcje. Brzydki włoszysko zamiera w fermatach słodkim canzon, trzeba go słuchać z zamkniętymi oczyma; po nim, czarny jak piekło chłopak w sycylijskim stroju tańczy tarantelę. Zwinne stopy w pończochach niosą go między stolikami w cichym, nieuchwytnym ruchu; w coraz prędszem, szalonym, zapamiętałem tempie wiruje w wąskim przejściu, jak wielki żółty motyl i zatrzymuje się wreszcie pod deszczem braw.

Jakby od żaru tego tańca, na stolikach mdleją i rozsypują się w małych wazkach kiście kwitnącej glicynji.

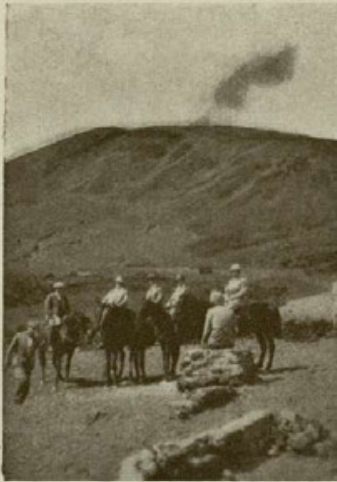
W POWROTNEJ DRODZE

Przestrzeń od Messyny do Neapolu, zatracając się w niepamięci snu, mija niepostrzeżenie i, jakby jej wcale nie było, razem z trzeźwością ranka ukazuje się Wezuwjusz – ten sam, a jednak inny.

Okrażamy jego podstawę, mijając znowu Annuziatę, Torre del Greco, Pogliano, co pozwala



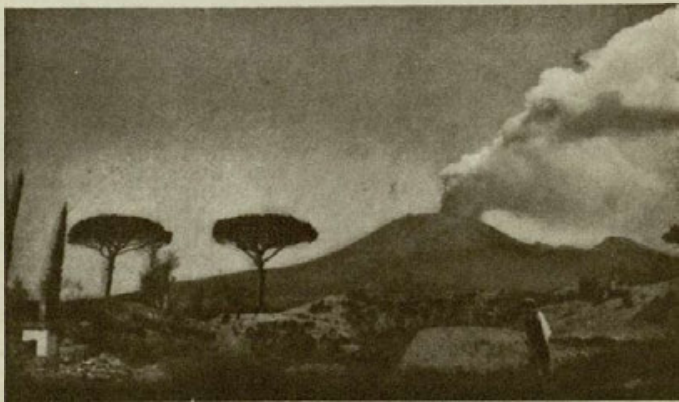
raz jeszcze przyjrzeć się mu uważnie. Cokolwiek inaczej przedstawia się teraz: stracił na powadze w porównaniu z okazałą Etną, zato jej senny spokój uwydatnia gwałtowny, wybuchowy charakter sąsiada. Nic się nie ustatkował: od czasu do czasu pomrukuje głucho i bez przerwy wyrzuca kłęby, które od spodu zabarwia płomień wewnętrzny. Nieforemność rozdartego boku uderza wyraźniej po doskonałym profilu Etny. Rozrzuty Neapol ciągnie się na ogromnej przestrzeni, zanim skupi się w gęsto zaludnione śródmieście. Krótki postój stacyjny nie pozwala na



wycieczkę do miasta i już tylko w przelocie miga biała plama i błękitne golfo.

Równina Kampacji, pocięta w pasy rzędami karłowatych drzew, na których rozpina się sieć wina, wygląda jak zielona szachownica. Znowu ukazują się ciemne pinje — awangarda Rzymu.

Drzewa, rosnące pojedynczo lub w małych grupach, mają tu swoją wymowę: ich zmienna różnorodność charakteryzuje każdą część wydłu-





żonego półwyspu. A więc: Palermo – to palmy; na tle Taorminy najwyraźniej występują palczaste, czerwono kwitnące kaktusy; na równinie Kampanji wracają pinje i cyprysy, o których mówi się – żalobne, lecz nic nie jest to w stanie zaciemnić radosnego nieba Włoch, raczej przez kontrast stają się jednym urokiem więcej.

Wśród ruin i starożytnych budowli, rozsianych na całej przestrzeni, najczęściej spotyka się domy jednego typu: ciemne kwadratowe bloki z kulistą wypukłością zamiast dachu, które w przydrożnych miasteczkach, podreparowane jako tako, służą za schronienie ludziom lub zwierzętom. Wciągnięte w służbę życia, większe jeszcze robią wrażenie, niż, gdy stoją, jako zapomniane, kruszące się zabytki, bo bardziej od



wieku zdumiewa ciągłość życia pod ich dachem, której przerwać nie może czas, ani mijanie pokoleń.



Dzisiejszy mieszkaniec żyje w nich podobnie, jak żył ten pierwszy, który je budował; pomiędzy nimi wydłuża się nieskończenie łańcuch bezimiennych przeżyć, których historję ludzką, arcy-ludzką, mogłyby opowiedzieć stare mury.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej brudnego nad wiejskie domostwa, odrapane rudery, pięterka jaskrawo malowane, bez szyb, znaczne smugami cieczy, wylewanych przez okna. Tylko włoskie niebo cierpliwie znieść potrafi tyle brzydoty i brudu, które pokrywa i wyrównywa, topiąc wszystko w słońcu i własnym błękiecie.

W Rzymie od pociągu do pociągu pozostaje kilka wolnych godzin, co pozwala przebiec raz jeszcze znajomą, a najbardziej wydeptaną drogę: od Term, tuż przy dworcu, przez Corso do pomnika i, okrążywszy go, wejść po stopniach na górę, by spojrzeć po raz ostatni na piękny Kapitol.

Dokoła miasto zatacza krąg i niby z serca wysyła arterje głęboko biegnących ulic: dwa weneckie pałace na Piazza miękko ciemnieją w zmierzchu, rysując się na niebie zębatą górą, która bezustannie nasuwa wspomnienia o św. Marku.

Jeszcze pogodny wieczór stoi nad miastem, gdy naraz – jakby w tajemnym porozumieniu – zapalają się lampy uliczne. Białe kule bez blasku świetlistym sznurem wykreśliły bieg ulic, zakolysały się łańcuchami świateł; piękny Rzym przystroił się za dnia w tysiąc lamp, niby w wie-

czarne klejnoty i w tem podwójnem oświetleniu ukazał się po raz ostatni, podwójnie uroczy.

Innego rodzaju widoki ukazują się pewnego ranka na północnej równinie, której przyroda i charakter wyróżnia się od reszty Italji. Wpływy sąsiadów, przenikając tutaj, inaczej urabiają ludność, niż na półwyspie, gdzie wpływy obce nie mają dostępu, a rola pedagoga przypada jedynie naturze i tradycji. W przelotnym rzucie oka wpływ ten zaznacza się ładem i czystością w zabudowaniach, w skrzętnem otoczeniu, w ogródkach, utrzymanych starannie. Ziemia również, na wzór uprawnych równin za Alpami, rozciąga dokoła zielone pola, równo zasiane zbożem, zamiast, jak dotąd, kapryśnej gleby, która na obszarach skalistych nieużytków stwarza rajskie ogrody. Jaskrawy barok południa przechodzi stopniowo w linje łagodne, w piękno spokojne; inne też drzewo staje się jego wymową: już nie cyprys i pinja, lecz znana dobrze u nas włoska topola, której świeża zieleń i prosty kształt wyraża to samo zrównowazenie, co natura i ludzie.

Charakter widoków zmienia się w miarę zbliżania się ku morzu: uprawne pola przechodzą w jałowe nadmorskie niziny, na których coraz częściej połyskują oka niebieskiej wody; na

horyzoncie przybywa coraz więcej połyskliwej powierzchni, a nadmiar wody rozlewa się w stawy, pogłębia w kanały, tworzy śluzy i wodospady. Ziemia ustępuje przed wodą, zanika i już tylko smutne resztki – mokradła, trawą porośnię, ciemnieją. Laguna, tchnąca pustką i bezużytecznością, zagarnia stopniowo cały obszar. Robi się płasko i mokro, lecz że natura włoska nawet w tym wypadku uroku wyzbyć się nie może, na tle monotonnych lagun ukazują się wdali niebieskie ośnieżone Alpy: zwartym łańcuchem szczytów zataczają półkole od północy, jak wał obronny, jak twierdza graniczna, wzniesiona ręką Boga.

Na ekranie wagonowej szyby przesuwają się widoki niby ruchliwy film: wyświetla go pęd pociągu, który niosąc i bawiąc jednocześnie, sam w doskonałej obojętności wymija wszystko. Dopadłszy do wysuniętej w morze grobli, zwalnia i jakby z wahaniem wbiega na tor na wodzie. Sunie po nim, zdążając prosto do wysp, na których przebija już z niebieskiego oparu – Wenecja *la bella*.

Długa jest litanja pochwał, jakimi darzono ją w ciągu wieków, lecz nazwa królowej Adryatyki przywarła, jako najtrafniejszy synonim nie tylko wtedy, gdy mała potężna republika nale-



żała do „możnych” świata tego, lecz i dziś, gdy wpływy jej przeniosły i ugruntowały się w innej dziedzinie, mniej doczesnej, lecz bardziej nienaruszalnej – w dziedzinie piękna. Pozostała więc królową i, mimo że świat idzie swoją koleją i wala się trony, panuje bez współzawodnictwa nad cichem morzem, które było świadkiem jej królewskich narodzin: powstała bowiem z fantazji królewskiej, z niebywałego pomysłu wyrosła, jak kaprys na martwej lagunie.

Te pierwsze początki, to odległe dzieje, lecz czas w jej historii nie odgrywa roli; Wenecja, będąc sędziwą babcią, pozostaje niezmiennie młodą królową, która te same odbiera hołdy, te

same wywołuje zachwyty. Szkoda, że sekret wiecznego podobania zachowuje tylko dla siebie.

Włoką się myśli śladem płynącej gondoli, mogłyby wlec się bez końca, niepłoszone niczem w ciszy ranka, w rozkosznej ciszy jedyne go miasta, gdzie nie dudni jezdnia, gdzie samochody nie zatruwają powietrza i spokoju nie mącą.

Blisko –
nisko sunie
woda, dziwna
woda weneckiego kanału,



inna w składzie, gatunku, kolorze: ciężka jakby gęsta w leniwym ruchu powierzchni, nieprzenikliwa – nie ukazuje nigdy dna, a kolor ma płynnego malachitu, na którym fale rysują ruchliwą, rozciąglą sieć. Miętko, plastycznie ustępuje przed dziobem łodzi, z pieszczotliwym pluskiem obejmuje jej boki i zamyka się zazdrośnie w wydłużoną smugę.

Tempo – tempo, współczesne hasło, dociera tutaj i, usuwając w cień gondole, mnoży stateczki i motorówki, które prują wodę jak puszczane rakiety, burzą kanał i mącą ciszę. Trudno

wyobrazić sobie Wenecję bez gondoli, jednak powoli odchodzą one w przeszłość: nie są tak wymuskane jak dawniej, wśród gondolierów brak młodych, a obecny zastęp z wieku i z wyglądu przypomina dorożkarzy warszawskich.

Po latach, po latach, od chwili, gdy plac św. Marka ukazał się po raz pierwszy zachwyconym oczom, dzisiaj ukazuje się znowu, ten sam w chmurze szarych gołębi, tylko kształt nowej campanili zaznacza, że między dziś i wczoraj upłynął czas i zaszły zmiany. To powtórne spotkanie równie silne robi wrażenie jak pierwsze, nie osłabia go wspomnienie piękna, oglądanego



po drodze, przeciwnie – myśl samorzutnie i bez wahania wyznaje, że jest to najpiękniejszy plac na świecie, najwspanialszy salon pod gołem niebem, w pięknie tak skończony, że jako doskonała realizacja ogólnie ludzkiej tęsknoty nietylko budzi zachwyt, lecz darzy poczuciem szczęścia.

Obcy przybysz z krańców świata, karmiąc na Placu św. Marka gołębie, które przyjacielsko garną się do wszystkich rąk, siadają na wszystkich ramionach, odczuwa, że miejsce to, wzniesione ponad granice ludzkich podziałów, bliskie mu jest i drogie.

Wydłużony plac w $\frac{3}{4}$ objęty jest przez Pałac Królewski i Prokuratorję, spokojne i jednolite w pomyśle. Są one tłem, na którym rozwija się bogaty ornament architektury wschodniej strony placu: brama z zegarem, bazylika, campanila, pałac dożów. Każde z nich stanowi odrębne arcydzieło budownictwa, tem trudniej pojąć zgodność, z jaką, zgromadzone na niewielkiej przestrzeni, zlewają się w całość doskonałą, w symfonię piękną, którą dopełnia boczna piazzetta z kolumną lwa i św. Teodorem, widok na morze i na brzeg, wypełniony rzędami czarnych gondoli.

Jaka ścisłość matematycznych obliczeń kryje się w tem, że proste Prokuratorje dają w ca-



łości wrażeń nie tak doskonałej harmonji?

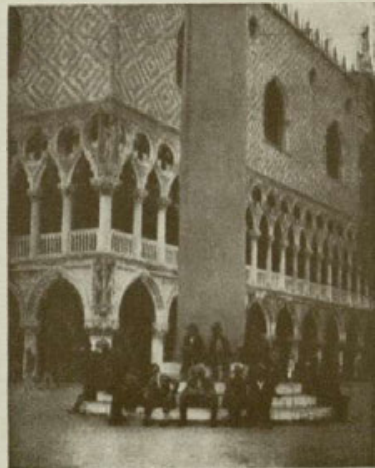
Jakim sposobem kupałasta bazylika, przeładowana b o-

gactwem szczegółów, nie gubi się w nich i nie zatracą przewodniej idei, która ją czyni cudem architektury?

Jak powstać mógł ryzykowny projekt oparcia masywnej góry pałacu dożów na koronkowej podstawie, co dało wynik jedyny i niezrównany?

Wędrują oczy po gmachach, dociekają, badają i korzą się przed tajemnicą genjuszu, który wiekami tworzył je i dopełniał.

Zachodzące słońce zapala zło-



te mozaiki na frontonie kościoła; odwieczny Flo-
rjan i jego konkurent zprzeciwka rywalizują
dyskretną muzyką, ściągając gości do niezliczo-
nych po obu stronach stolików; publiczność
spaceruje po marmurowych płytach, jak po po-
sadzce salonu; postrojone zwiejska nianie prze-
chodzą, prezentując na rękach kędzierzawe *bam-
bini*; gołębie, syte grochu, znudzone podziwem
i fotografowaniem, toczą się parami do stolików
po okruchy ciastek: spokój i radość wypełnia to
miejsce po samo niebo i stapia w jedno – ludzi,
gołębie i mury.

Brama z zegarem w prowadzi w wąskie ulicz-
ki weneckie, t. zw. *calli*, uliczki z nieprawdziwego
zdarzenia, w niczem niepodobne do innych, gdzie
otwiera się sezam bogactwa i piękności innego
rodzaju. Idzie człowiek środkiem jak w bajce
wśród zaklętych skarbów, między dwoma rzę-
dami witryn, za którymi rozłożył się zbytek tak
ponętny, że w najbardziej opornym budzi po-
żądliwość i chęć posiadania.

Niewiadomo czego pragnąć najwięcej, do
czego najpierw wyciągnąć ręce: czy do poema-
tów z wytłaczanej i złoconej skóry, czy do szkła
wydmuchanego z tęczy, czy do rzeźby, co sub-
telne główki otula w marmurowe tiule, czy do

azurów ze złota i nieprawdopodobnie misternych mozaik. Te dwa rodzaje piękna: Wenecja nazewnątrz i Wenecja nawewnątrz, rywalizują w sile przyciągania. Przemysł artystyczny, uprawiany w całej Italji, tutaj rozwija się najwspanialej, osiągając granice doskonałości. Sława wyrobów weneckich od wieków obiega świat, a sekret jej poznaje się, zwiedzając Murano, fabryki mozaik, przyglądając się niebywalej zręczności rzemieślnika-artysty.

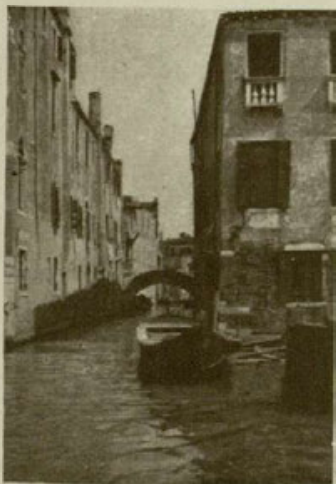
Miłość tworzy cuda – w danym wypadku piękno wyrobów i filigranowość cacek rodzi się z najgłębszego zamiłowania, z jakim palce weneccjanina opracowują wymarzony kształt w drzewie, szkle czy marmurze.

Wszystko zaś wzajemnie wiąże się i dopełnia: to samo prawo, co każe danej ziemi te a nie inne rodzić owoce, sprawia, że w Wenecji rozwijać się muszą artystyczne zamiłowanie i zdolności, gdyż ona sama w swem zbyt kownem pięknie jest klamrą kunsztowną ze starego złota i umarłych turkusów, co spina brzeg włoski z morzem.

Sezonowe okresy zabaw, mające stałą tradycję w różnych miejscowościach Europy, wojna zniosła zupełnie, lub tak odmieniła, że nie

są podobne do tego, czem były dawniej.

Podobnemu losowi uległy „noce weneckie”, gwarne zabawy wieczorne na kanałach, które w skromnych rozmiarach odbywają się teraz w pewne tylko wieczory, co pozwala nocy weneckiej, wedle odwiecznego prawa, zstępować na miasto



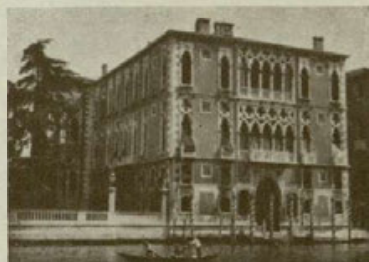
w ciemności i milczeniu.

Jednak wymowa cichych nocy głębsze robi wrażenie, niż inscenizacja sztucznego nastroju; ciemność i milczenie potęgują urok, i Wenecja, tracając niezbyt silną i za dnia realność, staje się tajemniczym nocturnem.



Gondola cicho odbija od progu i z wąskiego rio wydostajesię na otwartą przestrzeń wody. Gdzieś za doganą kołysze się bukiet kolorowych lampionów i tańczą sarabandę światełka niewidzialnych gondoli, w ciszy zanosi się iłka skan-

dowana piosenka. Ciemny kształt Santa Maria della Salute przesuwa się z boku i wprowadza na szeroką drogę Wielkiego Kanału. Pusto tutaj i cicho. Woda z pluskiem omywa progi domów i odbija lampy nadbrzeżne; ciemna, kołysząca powierzchnia nie ma w sobie nic groźnego: jest jak wydeptała droga — cicha, ujarzmiona. Łódź sunie jak widmo, z ciemności niespodzianie wynurza się nowy cień gondoli, zdaje się, uderzą o sie-



bie, lecz prowadzone wprawnie, za ledwie ocierają się brzegiem lekko, przyjaźnie, jakby się witały, i rozstają się znowu, rozciągając w dal dźwięczny djałog przewoźników.

Gondolier wymienia raz po raz nazwiska twórców i posiadaczy rezydencji nad kanałem;



w ciszę zapadają rodowe dźwięczne nazwy Foscarich, Giustinianich, Barbariego, Contarinich i długi szereg innych, co, budując Wenecję, nazwiska swe nazawsze z nią związali. Kanał prze-wija się w skrętach, a każdy zakręt odkrywa nowe widoki; fasady pałaców przesuwają się niby wi-



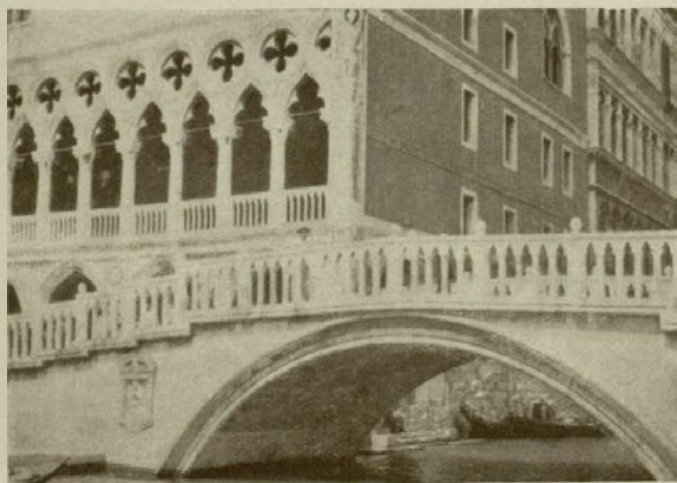
dziadła, jedne tajemnicze, groźne lub ponure, inne lekkie, w łukach arkad, przybytki rozkoszy i miłosnych przeżyć.

Przesuwamy się cicho pod łukiem Rialto; gondola skręca w wąskie kanały, tak puste o tej porze i tak pozbawione życia, że przeciągły, ostrzegawczy okrzyk przevoźnika na każdym zakręcie przepada w martwej pustce jak dźwięk bez znaczenia. Liczba małych kanałów dochodzi do 150; okrążają one 117 wysepek



i przecinają się w najrozmaitszych kierunkach, co bez przerośnięci stwarza labirynt prawdziwy, w którym zabłądzić łatwo, a wydostać się trudno, zwłaszcza w nocy, gdy ciemność ledwie rozpraszają rzadkie pojedyncze światła. Domy nad wodą, odwrócone od życia, stoją nieme bez światła, bez głosu, a jedyny ruch na kanale – kołysanie się wody pod ścianami – zdaje się pogłębiać ich sen.

Pod murami, pod mostami, przez nierozwikłane zakręty *rio*, wydostaje się gondola na morze i, sunąc wzdłuż promenady *riva degli Schiavoni*, przybija do Piazzetty, gdzie



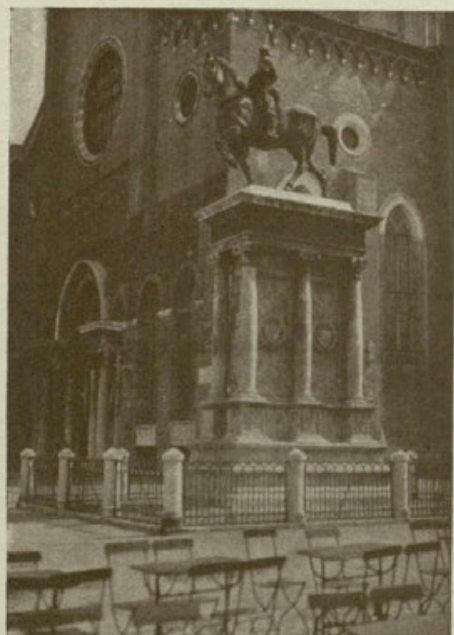
ruch, gwar i światło witają po nastrojowej nocy na kanałach.

Te same warunki, które stwarzają wyjątkowe piękno Wenecji, z drugiej strony czynią ją miastem tymczasowości, miejscem krótkiego tylko postoju dla tysiąca turystów, którzy przeciągają przez nią od kwietnia do października. Przeciętnie pobyt w Wenecji oblicza się na kilka dni i prawie żadnemu spośród najgorętszych nawet wielbicieli nie przyjdzie myśl zamieszkania tu na stałe. Jednak przeszło 200 tys. mieszkańców nie rozstaje się z Wenecją, spędzając w niej życie, a jak się odbija na ich zdrowotności nadmiar wody i wilgoci, o tem zapewne mówi statystyka lekarska. Fakt jednak powstania i rozwoju Lido stwierdza, że mieszkańcy dążą i poszukują innych warunków, niż te, jakie im daje macierzysta laguna.

Długa kosa Lido, oddzielając lagunę od morza, ciągnie się nad niem piaszczystem wybrzeżem długości 18 klm. i stwarza jedną z najpiękniejszych plaży w Europie, której zalety ocenia nie tylko Wenecja, lecz za jej pośrednictwem poznaje i ocenia świat cały, co sprawia, że Lido jest dzisiaj najbardziej modnym i uczęszczanym kąpieliskiem.

Połączenie z Wenecją trwa przez cały dzień

bez przerwy: małe stateczki – *vaporetti* – odcho-
dzą co pół godziny, można więc każdą wolną
godzinę spędzić na plaży, a cała wyprawa nie-



wiele więcej zabiera czasu, jak spacer do Giar-
dino Publici.

Lido ma stempel europejski i nowoczesne
udogodnienia, w pierwszym rzędzie tramwaj
elektryczny, nieoceniony wobec długości wyspy,
który kursuje wzdłuż, dowożąc do różnych

punktów plaży. Aleja, wysadzona drzewami, prowadzi do przystani wgląd; ogrody, parki, wille i hotele ciągną się naprzemian dwoma szeregiem. Nad plażą, zwrócone ku morzu, górują wielkie gmachy: Excelsior Palace i Hôtel des Bains, dalej zakład kąpielowy – wszystko z opuszczonymi jak powieki żaluzjami, drzemie jeszcze o tej wczesnej wiosennej porze. Kosze,



zsunięte w gromadę, oczekują chwili, gdy rozsypią się po całym wybrzeżu i wypełnią gwarem i brązowymi ciałami; tymczasem panuje cisza przedsezonowa. Tylko natura ukończyła przygotowania i staje do apelu: słońce zalewa plażę, jak w pełni sezonu, nagrzewa wodę i sypki piasek, a cała racja istnienia – morze, cudne, prześwieczone słońcem morze, wypełnia horyzont od

końca do końca i, wraz z przyływem fali, niesie swój słony, rzeźwy oddech. Płytkie dno sięga daleko i zaznacza się przy brzegu białym pasem, dalej rozlewa się ruchliwy, kołyszący błękit; rdzawe, spalone słońcem, żagle włoskie suną po nim, kołysząc się lekko jak motyle ze złożonemi skrzydłami.

Lada tydzień, może lada dzień napłyną ludzie, ożywią, poruszą pustą plażę, lecz – o ile nie ujmą – nie dodadzą nic do piękna, które już istnieje i które dziś wsam-na-sam z naturą lepiej poznać i ocenić się daje.



Na stacji w Treviso, na bocznym torze, stoi sznur węglarek,znaczony znajomem P. K. P. A więc i tu dociera polski węgiel! – serce zabiło żywiej i radośnie. To miłe spotkanie – napozór

bez znaczenia – dokonało zasadniczej zmiany w rozważaniach o Italji: zrealizowało je i z ode-
rwanego świata piękna i sztuki, w którym prze-
bywało w ciągu całej podróży, sprowadziło
na grunt praktycznych zagadnień życiowych.

Sprawa piękna Italji oddawna przesądzona
została: świat przyznał jej palmę pierwszeństwa
i wydeptał włoskieszlaki pochodem bezustannych
wycieczek, lecz właśnie polski węgiel przypo-
mniał o istnieniu innych wartości: o gospodar-
czej wartości ziemi jako żywicielki i jej zasobów,
warunkujących normy życia.

Wydajność ziemi włoskiej stwierdza raz
jeszcze nieubłagany związek między naturą





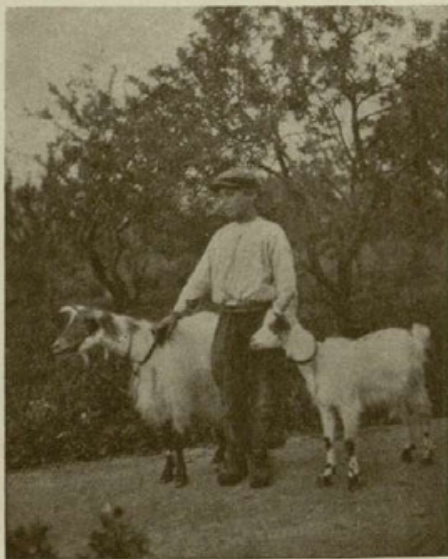
a ziemią, ziemią a człowiekiem; pod niebem Italji od wieków kwitnie sztuka, rodzą się marmury, dojrzewają najśłodsze owoce i płynie wino. Każda prowincja, każda prawie miejscowość chlubi się swoją produkcją: znane są wina z Lacium, z Viterby, z Abruzzów, z pod Wezuwju-sza, z Sorrento, z Ischii; południe wytwarza słodki xeres, ożywczą marsalę; smak, zapach i kolor falerna, Lacrima Christi i wina z Capri sławili już starożytni z Anakreontem na czele. Tak więc ziemia rodzi zbytek, jak natura piękno, a człowiek z nią związany – sztukę, lecz to wszystko razem jest pianką życia, ono zaś samo dla wzrostu i rozwoju potrzebuje prostego, twardego fundamentu – chleba i węgla.

W związku z tem miarodajne jest rozporządzenie Mussoliniego, ograniczające w restauracjach wydawanie narodowego makaronu do trzech dni w tygodniu i nakaz zastąpienia go miejscowym ryżem, na skutek czego jadaliśmy *risotto à la milinaise* na zmianę z makaronem w pomidorach, przyczyniając się ze swej strony do zmniejszenia importu zagranicznej pszenicy. Import ten, ulegając wahaniom, dochodzi do 40% ogólnego zapotrzebowania, a wina tego niedoboru spada na glebę, jedynie na nizinnej północy zdatnej pod uprawę zboża, które pozatem

w $\frac{3}{4}$ ilości sięją na stokach. Godna zaś podziwu wytrwałość i pracowitość miejscowego rolnika osiąga rekord w tem, że cała prawie powierzchnia (92%) górzystego kraju wyzyskana jest pod uprawę zboża, kukurydzy, ryżu, pod ogrody, winnice i plantacje oliwek.

Co do węgla – odpowiedzią są polskie węglarki; góry apenińskie dostarczają go w znikomej ilości w kopalniach Istriji, a brak ten jest tem dotkliwszy, że nafty również Włochy nie mają.

Te podstawowe braki godzą przedewszystkiem w ludność wiejską, stąd też pochodzi bieda osiedli wiejskich i przedmieść; z braku i niedostatku rodzi się uprzykrzona namolność i chciwość napiewku, z niego też wyrasta znany w całym świecie typ włoskiego lazzarona.



Zestawiając plusy i minusy, można nazwać Włochy – ubogim krajem zbytku. Ogromna wydajność ziemi, produkcja miejscowa i rozwinięty przemysł nie mogą skompensować zasadniczych braków, które czynią Włochy krajem, zależnym ekonomicznie w czasie pokoju, a w czasie wojny – zagrożonym widmem blokady.

Lecz o tem myśli i troszczy się człowiek; natura, upojona własnem pięknem i winem, zdaje się zrzekać prozaicznych bogactw na korzyść tak jednostajnych równin jak Polska, sama zaś tonie w słońcu, pije wino, tworzy i śpiewa – *evoe!*





Port w Pozzuoli pod Neapolem,

Piękno i sztuka Włoch to nietylko martwy kapitał i przedmiot podziwu, to żywotny, dobrze prowadzony *bussiness*, który ściąga cudzoziemców, a wraz z nimi napływ obcego pieniądza.

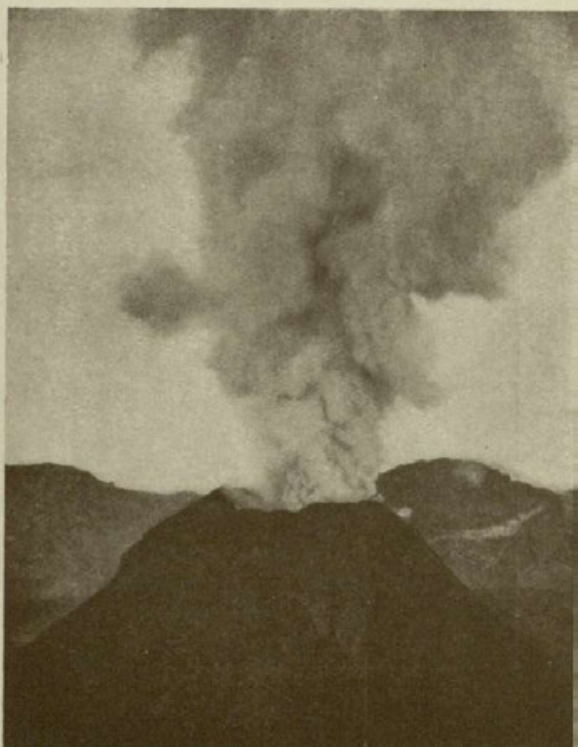
Ostatnie lata wyrównały powojenny zastój: ludzie, stęsknieni do wrażeń innych, niż te, jakie



przyniosła im wojna, pociągnęli tłumnie w stronę, „gdzie cytryna dojrzewa” i gdzie od wieków najsilniej przejawia się radość istnienia. Od stycznia rozpoczyna się po Italji wędrówka ludów, w której większość stanowią Anglicy, Żydzi – Niemcy, Amerykanie, Francuzi w znikomej liczbie, Słowianie należą do wyjątków, a język

polSKI, o ile słyszeć się daje, pochodzi od mniejszości z Łodzi lub Zawiercia.

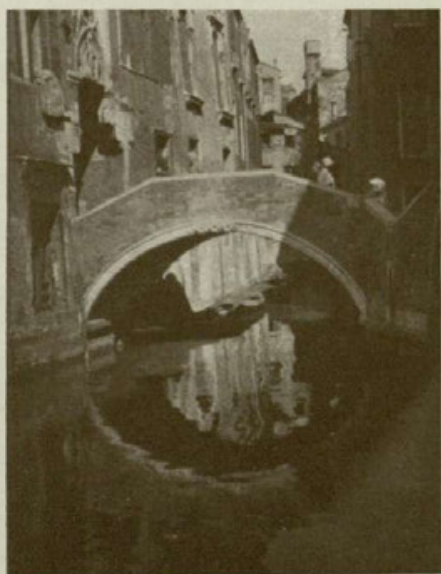
Każda nacja ma uprzywilejowany mie-



siąc, w którym zjeżdża najliczniej, pozatem niepokój Wezuwiusza zawsze zwiększa frekwencję, podnosi ceny, przeludnia hotele

na bulwarach i zdwaja ruch w ajencjach Cook'a.

Turystyka rozwinięta jest tutaj, jak w żadnym innym kraju; na rozwój jej i usystematyzowanie wpłynęło powstanie *Touring Club Ita-*



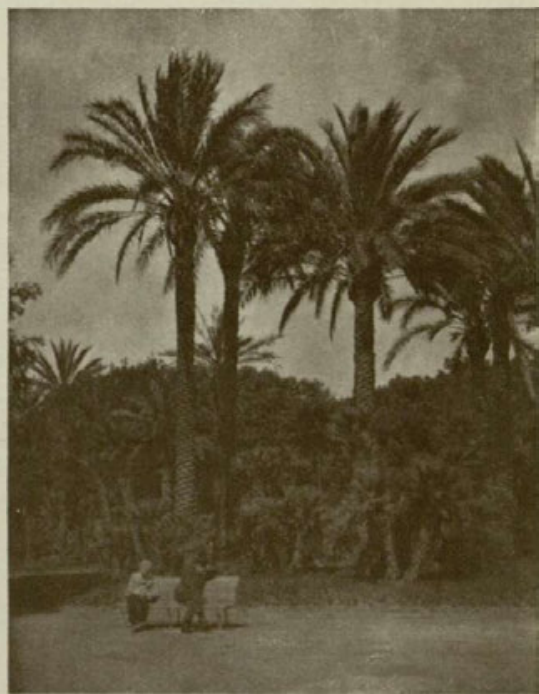
liano, jednego z największych stowarzyszeń turystycznych, które działalność skierowało na sprawy zasadnicze, z turystyką związane: wydawnictwa i mapy, ulepszenia dróg, ochrona piękna i zabytków, kontrola hotelarstwa. Rząd

obecny popiera te rozumne poczynania i ze swej strony, doceniając znaczenie sztuki i zabytków, jako narodowego bogactwa, przystępuje na całej linii do prac wykopaliskowych i restauracyjnych.

Rozwój turystyki pociąga za sobą rozwój hotelarstwa, które stanowi jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu. W prowadzeniu wielkich hoteli wyczuwa się ogromną rutynę, a mechanizm całości działa tak sprawnie, że robi się trochę przykro nam, którzy pamiętamy „pierwszorzędne” hotele i „komfortowe” pensjonaty w rodzinnych uzdrowiskach.

Istnieć tu chyba muszą specjalne akademje dla hotelarzy i dla szkolenia pp. starszych, kelnerów i numerowych. Żaden z nich nie minie gościa bez obowiązkowego *buon giorno*, lecz ważniejszą od tresury jest wrodzona ujmująca grzeczność bez serwilizmu, która cechuje całą ludność. Frak, obowiązujący kelnera od rana, nie jest dekoracją gnuśności i rozwydrzenia, lecz oznaką czujnej gotowości, która rzeczywiście istnieje. Przytem ruch, pochylenie, z jakim *cameriere* nakłada potrawę na talerz, jego uśmiech i odpowiedź zawiera tyle naturalnej gracji, że cudzoziemiec mimowoli uświadamia sobie znaczenie wiekowej kultury, którą cały naród dziedzieży.

Nad sprawnością usługi czuwa *maitre*, wyrobiony światowiec, umiejący podtrzymać rozmowę, a który, zdaje się, po to istnieje, by speł-



nić i odgadywać życzenia gości. A każdy portjer hotelowy – to ministerjalna głowa, tylko bardziej wszechstronna, w jednej osobie encyklopedia miejscowa, biuro informacyjne, kan-

tor wymiany i szybka pomoc w każdym wypadku.

I chociaż wyczuwa się, że motorem zabiegów hotelowego zespołu bywa chęć zysku, niekiedy nawet wyzysku, w rezultacie pieniądź wydany przynosi maximum wygody i zadowolenia, jakie w danym wypadku otrzymać można.

Włochy zostały za nami; w pamięci syntetyzują się wywiezione wrażenia i na tej pracy niepostrzeżenie upływa reszta drogi. Przybliża się granica Polski.

W szarem świetle ranka ukazuje się znajomy krajobraz: monotonia równiny, biegnącej aż pod niskie chmurne niebo; małe krzaczki, rozmokłe miedze, wypłowiała zeszłoroczna trawa, ziemia czarna, dopiero co wyszła z pod śniegu, którego resztki bielą się jeszcze po rowach.

Do szarych pól przypadły wioski: niskie chaty rozsiadły się szeroko, niczem syte i dostatnie kumy, które w gromadzie o czymś radzą; z nad strzech gdzieś wybiega w górę kościelna wieża. Tak, tak – przyznać trzeba: zaopatrzył Pan Bóg Polskę we wszystko, ale urody trochę poskąpił.

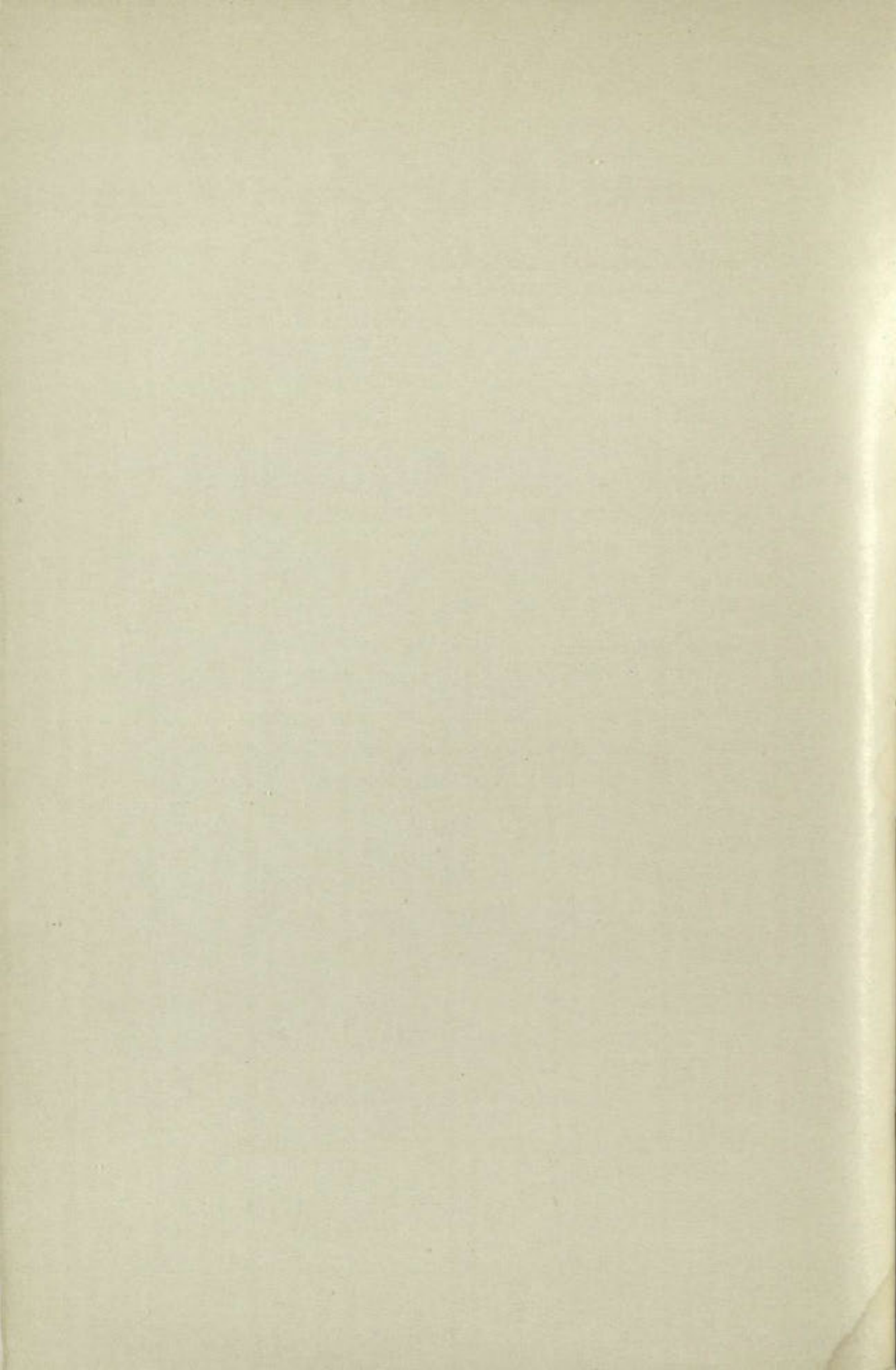
Pociemniało nagle w wagonie – pociąg wjechał w sosnowy las: dokoła sosny wyrastają, jak maszty, rozpościerając w górze ramiona gałęzi: proste pnie połyskują miejscami czerwoną miedzią, a mroczna, cicha głąb nieprzeparcie ciągnie. Niewymowna radość zalewa duszę: oto czego nie było w pięknie Włoch i czego zastąpić nie mogą powykęcane południowe drzewka – waszej strzelistej, cicho szumiącej zadumy – siostry, siostry moje! W jednej chwili odnajduje się niezastąpiony, z niczem niedający się porównać, urok własnej ziemi, dusza, jak oderwana cząstka od całości, przypada do tych ram, które dla niej stworzone zostały, i jedno tylko wyczuwa: „Że jest odwieczna w drzew twoich poszumie „I w traw szeleście i zbóż kołysaniu, „Nieprzenikniona wielka Tajemnica, „Co mnie i ciebie swą mocą bezwiedną „Złączyła w Jedno”*)).



*) Zdzisław Dębicki – „Do Ziemi”.

E R R A T A.

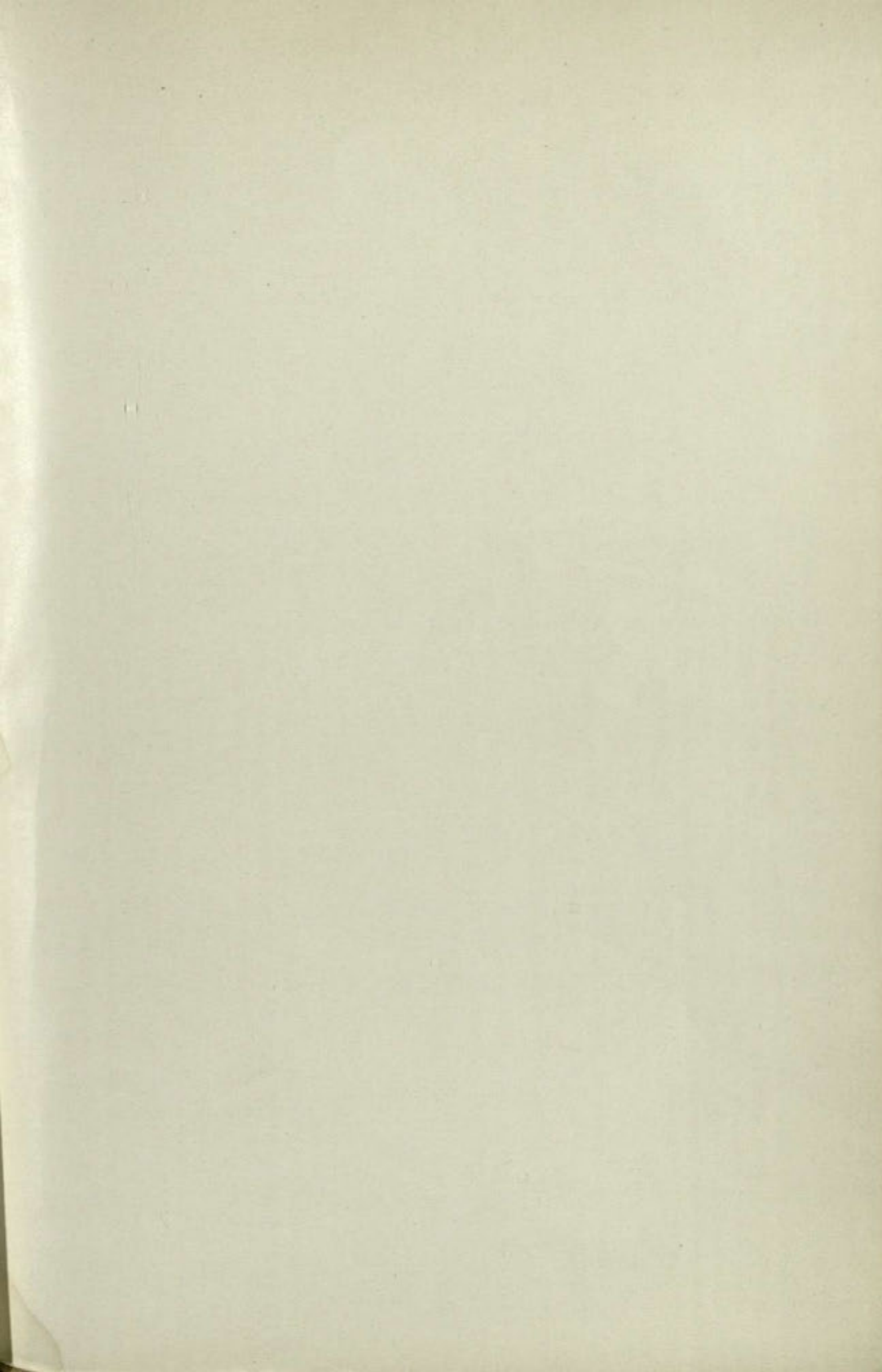
Str. 32 w. 1-szy - *kapitol dorycki*,
powinno być - *kapitel dorycki*.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
1. Wieczne miasto	7
2. Neapol	43
3. Z sycylijskich wrażeń	69
4. W powrotnej drodze	101







3154

